

SZCZĘSNY RUTKOWSKI

W 150 DNI  
NAOKOŁO ŚWIATA



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

<http://rcin.org.pl>

PAŃSTWOWE  
MUZEUM ZOOLOGICZNE

**BIBLIOTEKA**

Inw. Nr. K.763.

WYDZIAŁ ZOOLOGII

Muzeum Zoologiczne  
Instytut Zoologii

WYDZIAŁ ZOOLOGII  
MUSEUM ZOOLOGICZNE  
UL. ŻELAZNA 24  
01-650 WARSZAWA

m.3.60  
K

Z KSIĘGOZBIORU  
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

W 150 DNI  
NAOKOŁO ŚWIATA.

WYDAWCA  
Z KRAJOWYM  
DR WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WYDAWCA  
KRAJOWY

Zakł. Graf. Pracowników Drukarskich,  
Warszawa, N.-Świat 54, tel. 15-56 i 242-40.



SZCZĘSNY RUTKOWSKI.

W 150 DNI  
NAOKOŁO ŚWIATA



Z KSIĘGOZBIORU  
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

5932)

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY

W 150 DNI

NAOKOŁO ŚWIATA



Z KSIĘGOZBIÓRNI  
DR WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WYDZIAŁ WYDAWNICZY  
WARSZAWA - KRAKÓW - ŁÓDŹ  
PARYŻ - WROCLAW - ZIELONA GÓRA

Z KSIĘGOZBIORU  
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

I. WYJAZD.

Dwa razy już wybierałem się w podróż naokoło świata: w roku 1914 — zatrzymała mnie w kraju wojna; w roku 1921 — dewaluacja skonfiskowała mi pieniądze.

Do trzech razy sztuka — wystartowałem szczęśliwie 26 listopada 1927 roku.

W tej porze roku mało kto wyjeżdża za granicę. Pociąg pospieszny Warszawa — Berlin był dość pusty.

W przedziale miałem tylko jedną towarzyszkę podróży, starą żydówkę, w olbrzymim karakułowem palcie, z mnóstwem tobołków, przenoszącą się na resztę życia do synów, masarzy, do Londynu.

Bardzo była zmartwiona wyjazdem z rodzinnych Nalewek, ale jeszcze bardziej przerażona perspektywą rewizji granicznych i przejazdem przez kanał La Manche. Jakoś wspólnymi siłami przebrnęliśmy czyścić granicy polsko-niemieckiej. Nie wiem, jak tam było na morzu, gdyż drogi nasze rozeszły się w Berlinie.

Berlin, zbudowany jako ramy dla parad wojskowych, za dnia, bez cesarza, gwardji, lejtenantów, wy-

gląda pusto i ponuro. W nocy upodabnia się, jak może, do Nowego Yorku, ulice płoną mnóstwem świetlnych ogłoszeń, ozywają tłumami, spieszącymi do kin i restauracyj.

Po drodze z Berlina do Paryża zboczyłem do Frankfurtu nad Menem: miasto to słynie ze swoich eksperymentów urbanistycznych i z masowej produkcji domów dla urzędników i robotników. Miejska fabryka wyrabia z mieszaniny cementu i grubomielnego, porowatego kamienia wielkie płyty na ściany, znormalizowane okna, drzwi, inne części składowe. Samochody ciężarowe przewożą części te na miejsce budowy; zmontowanie jednorodzinnego piętrowego domku zajmuje parę dni czasu.

Zwiedzałem całe już zamieszkałe dzielnice, po paręset domków, zbudowane tym systemem; kalkuluje się one o 25% taniej, niż domki, budowane z cegły lub drzewa; podobno są ciepłe i suche.

Frankfurt ma piękny stary rynek z malowanymi i rzeźbionymi kamienicami, romantyczne zaułki — jakby wyjęte z „Fliegende Blätter“. W starej części ratusza jest sala koronacyjna cesarzy niemieckich; w nowej, zbudowanej w najczystszy „gotyku Wilhelm II“, doskonałe reńskie i mozelskie wina w „Rathauskeller“.

Pociąg Frankfurt — Paryż pełen był urlopowanych żołnierzy z nadreńskich wojsk okupacyjnych. Poborowi francuscy niewiele różnią się od naszych; zawodowcy angielscy w marynarkach koloru khaki, w koszulach z krawatami, zręczni, elegancy, wyglą-



dają raczej na sportowców lub turystów. Obie nacje jechały przemieszane, w dobrej komitywie i w świetnych humorach: — jechali przecież na urlop.

Z nałogu krytyka artystycznego odwiedziłem w Paryżu „Salon d'automne“. Parę tysięcy obrazów: kwiatki, pejzażyki, portreciki, akciki, traktowane jako pretekst do fakturowych popisów, malowane pendzlem — szpachlą, grubo, cienko, lekko, ciężko, z użyciem wszystkich sposobików malarzkiej kuchni, początkowo olśniewają zręcznością techniczną, smakiem zestawień kolorystycznych, lecz wkrótce zaczynają brzydnąć, nudzić, jak zbyt wielka porcja najlepszych marmeladek. Dużo luksusowych mebli, urządzeń całych wnętrz, tkaniny aksamitne, jedwabne, wełniane, tapety w kubistyczne i suprematystyczne desenie, pomysłowe lampy elektryczne, precudna łazienka Lalique z matowego, jakby oszronionego szkła.

Od czasu „Wystawy Dekoracyjnej“ z roku 1925 zdobnictwo i meblarstwo francuskie znowuż wybija się na czoło produkcji światowej.

Zarząd Salonu Jesiennego zorganizował w restauracji wystawowej konkurs regionalnych francuskich kuchni. Jednego dnia podawane są potrawy i trunki bretońskie, drugiego dnia prowansalskie, trzeciego normandzkie i t. d. Trafiłem na dzień prowincji „Poitou“. Restauracja przepelniona. Menu — było ślicznie wydaną książeczką, z sugestyjnymi opisami, jakie to świetne jest masło Poitou, jakie niezrównane króliki, ser, gruszki, wino. Istotnie popisowy obiad z winem kosztował koło 10 złotych. Po obiedzie wy-



szedł na środek sali starszy pan z legją w butonierce, wygłosił fachowy rozbiór krytyczny obiadu i zaproponował owację dla kucharzy. Brawa były frenetyczne.

Jak wiadomo, cztery są główne gałęzie Sztuk Pięknych: 1) architektura, malarstwo i rzeźba, 2) literatura, 3) muzyka, 4) sztuka kulinarna. Coś mi się wydaje, że ostatnia najwięcej ma w Paryżu zwolenników.

We wszystkich teatrach paryskich grano sztuki, w których: „Pan panią zdradza, pani jest zazdrosna“, albo „Pani pana zdradza, pan jest zazdrosny“, albo „wszyscy wszystkich zdradzają, nikt nie jest zazdrosny“. Te pasjonujące tematy dziwnie mnie jakoś nie pociągały. Poszedłem do Folies Bergères na revue: „Un vent de folie“ (powiew obłądu). Ujrzałem tam: kontorsje zgrabnego zwierzątka, koloru kawy z mlekiem, Josephiny Baker (ani czarna, ani Venus); targ na niewolnice w Asyrji; konkurs piękności w Wenecji epoki dożów; bitwę morską ze strzelaniem z armat, płonącymi galerami; chińskie dżonki, pełne żółtych kurtyzan, na rzece Żółtej; hinduską pagodę, zmontowaną ze złoconych gołych panien, annamickie tańce—wiele, wiele innych pięknych rzeczy. Dekoracje, efekty świetlne, kostjумы i nadzwyczaj ryzykowne dezbale, pomyslane z ogromnym smakiem i poczuciem scenicznem.

Odwiedziłem jeszcze kabaret: „Jockey Club“ na Montparnasie. Kilka lat temu było to najweselsze miejsce w Paryżu, rendez-vous młodych malarzy, poetów, muzyków, ich różnokolorowych modelek i przy-

jaciólek. Lokal pozostał ten sam — mała salka, popstrzona napisami, oblepiona malunkami. Artystów i humor wyparli amerykańsko-angielscy gapie, trzeciorderne kokoty. Ceny się podwoiły.

## II. UNITED STATES LINES.

Kilkanaście linii okrętowych angielskich, francuskich, amerykańskich, holenderskich, niemieckich łączy Europę ze Stanami Zjednoczonymi. Zdecydowałem się jechać statkiem kabinowym „United States Lines“ — „Rooseveltem“. Kabinowemi nazywają się transatlantyki typu trochę mniejszego, tak koło 20.000 ton. Przejazd na nich trwa o kilka godzin dłużej, kosztuje zato blisko o połowę taniej, niż na 40.000 tonowych „Olimpicu“ i „Majesticu“, lub 30.000 tonowym „Paris“.

Wybrałem statek amerykański, aby już w drodze oswoić się z amerykańskimi zwyczajami i z amerykańską wymową angielskiego języka.

Ćwiczenia językowe zacząłem już na dworcu w Paryżu. W specjalnym pociągu, przewożącym pasażerów „Roosevelta“ do Cherbourga, napisy były angielskie; konduktorzy, służba w wagonie restauracyjnym, zwracali się do pasażerów tylko po angielsku.

Przekonałem się w czasie swojej podróży, że na okrągłym świecie angielski stał się obecnie obowiązującym językiem międzynarodowym. Francuski jest jeszcze w użyciu w paru słowiańskich krajach, po części w Egipcie i Turcji.



Przejechaliśmy całą Normandję wpoprzek, przez Mantes, Evreux, Caen. Nie było jeszcze znać zimy — w ciągnących się prawie nieprzerwanie z dwóch stron drogi sadach zbierano ostatnie jabłka, na zielonych jeszcze łąkach pasły się krowy. Do Cherbourga dojechaliśmy o zmierzchu.

Godzinę czasu zajęło przeglądanie wiz, paszportów, fikeja rewizji sanitarnej.

W czarną noc, po atramentowem morzu, mały stateczek powiózł nas ku rzeźsiście oświetlonemu „Rooseveltowi“, oczekującemu na pasażerów z Francji o parę wiorst od zbyt dlań płytkiego portu.

Zupełnie jakbym zajechał do wielkiego hotelu. Elegancki służący „steward“ schwycił moją walizkę, po szerokich schodach, jasnych, krytych dywanem korytarzach zaprowadził do numeru-kabiny, pokazał, jak się zapala i gasi całą gamnę lampek elektrycznych, sprawdził, czy jest woda i ręczniki. Kabina zawierała dwa łóżka, jedno nad drugim, dwie szafy głęboko wpuszczone w ściany, umywalnię z zimną i gorącą wodą, dwa krzesła, kanapkę; wszystko to na przestrzeni ośmiu metrów kw. Była zaopatrzona w centralne ogrzewanie i wentylatory; małe okrągłe okienko otwierało się tylko podczas zupełnie pewnej pogody. Cały pokład obiegała szeroka kryta werenda — miejsce spacerów i zabaw sportowych. W obszernym salonie między godziną 5 a 7 grała muzyka „do słuchu“, po obiedzie było kino, potem dancing. W palarni i czytelnicy koło kominków z główniami, żarzącymi się elektrycznym światłem, głębokie skórzane fotele stały dla



marzycieli i śpiochów, stoliki z kartami, szachami i dominem dla graczy.

Jedzenie jest podstawową rozrywką towarzyską na statku. Między 8 a 10 rano podają w sali restauracyjnej pierwsze śniadanie — „breakfast“, składające się z talerza kaszy albo owsianych płatków z mlekiem, potem jajka z boczkiem, albo ryba smażona, befszytk, potem ulubiony przysmak amerykański, bliny z syropem, ciasta, marmelady, owoce, herbata, kawa. O 11 roznoszą po pokładzie i salach buljon w filiżankach. O pierwszej jest „lunch“ — drugie śniadanie, cała litanja przekąsek, ryb, mięs, puddingów i serów. O czwartej herbata z ciastkami, o siódmej obiad, z zupą zamiast przekąsek, jeszcze od lunch'u obfitszy. O dziewiętej wieczór pojawiają się w palarniach i czytelnich tace z wymyślnymi kanapkami i osmażanymi w cukrze owocami.

Na lądzie takie obżarstwo doprowadziłoby do rychłej i ciężkiej śmierci. Na oceanie (póki jest spokojny) wszyscy mają wilcze apetyty, i intensywne odżywianie wychodzi na zdrowie.

Pierwsze parę dni podróży pogoda była śliczna. Ciepło, niebo jasne, woda mieniąca się szklistym błękitem i zielenią, ozdobiona pianą łagodnych bałwanów.

Wszystko się zepsuło na środku Atlantyku. Napotkaliśmy potężny huragan zachodni, tak silny, że pomimo wyętej pracy maszyn, statek prawie wcale się nie posuwał. Wielkie bałwany tłukły jak pięścią z przodu, z boków; stalowe pudło trzeszczało; w no-

cy, aby nie wylecieć z łóżka, trzeba było oburącz trzymać się krawędzi. Restauracja i salony bardzo opustoszały.

Nie chorowałem, ale czułem się jakoś niewyraźnie, było mi tęskno, smutno: jedyną moją ostoją był głęboki fotel w palarni, pociechą — świadomość, że wszystko mija. Po trzech dniach huragan minął; w ostatnie dni podróży ocean był zamglony i gładki jak stół. Statek ryczał, dzwonił, ale się nie kiwał.

Publiczność na „Roosevelcie“, okręcie niedrogim, składała się przeważnie z Amerykan ze sfer inteligentkich: uczeni, profesorowie, artyści, powracający z letnich wypraw do Londynu, Oksfordu, Paryża; panienki, studenci, wypolerowani szmerglem europejskiej kultury; młode pary odbywające klasyczną podróż poślubną Paryż — Rzym — Wenecja — Monachjum; naogół ludzie łatwi, weseli i uprzejmi. Jechało również kilkunastu emigrantów Niemców, po kilku Czechów i Węgrów. Byłem jedynym na statku Polakiem.

Kilkudniowy wspólny pobyt na niewielkiej przestrzeni — gry, dancing, wspólny stół — bardzo zbliżają. Zaprzyjaźniłem się z dwiema amerykańskimi Włoszkami z Idaho, z młodem jankeskim małżeństwem z Alabamy, z Węgrem, ex - rotmistrzem huźarów. Porozumiewaliśmy się bigosem angielskich, francuskich i włoskich słów. Zostałem zaproszony do Idaho i do Alabamy. Niestety, nie mogłem z zaproszeń skorzystać, gdyż stany te leżały jeden o tysiąc wiorst na południe, drugi o tysiąc wiorst na północ od miejscowości, przez które przejeżdżałem. Węgier nigdzie

mnie nie zaprosił, gdyż był emigrantem. Biedak podczas huraganu nie wychodził z kabiny; twierdził potem, że woli trzy lata wojny na froncie, niż trzy dni morskiej choroby.

### III. NOWY JORK.

Pierwsze lądowanie w Ameryce — sensacja to nielada. Aby nic nie stracić z całego scenariusza, wyszedłem na pokład o szóstej rano.

Jeszcze nie świtało. „Roosevelt“ posuwał się bardzo powoli, gdyż w Nowojorskiej Zatoce był tłok: na prawo, na lewo, przed nami, za nami majaczyły kształty, świeciły paciorki okien 16 transatlantyków, mnóstwa innych statków, wjeżdżających równocześnie z nami do portu. Z obu stron migwały zielone, czerwone, żółte reflektory morskich latarni, arabeski światełek przedmieść Richmonda i Brooklina. Przed nami rozjaśniała niebo rudawa luna Nowego Jorku.

Zjedliśmy ostatnie na statku śniadanie. Skądciś wyłonili się amerykańscy urzędnicy i doktorzy, odbył się ceremoniał przybijania wiz, zapisywania w różne rubryki policyjnych i sanitarnych foljałów.

Kiedy wreszcie mogłem wyjść na pokład, słońce już wzeszło. „Roosevelt“ jechał wzdłuż nieskończonej linii olbrzymich fabryk, cystern, doków. Dookoła panował fantastyczny ruch poranny największego portu świata. Mijaliśmy wielkie transatlantyki, statki całe białe, dostarczające na rynek nowojorski podzwrotnikowych owoców i jarzyn, czarne węglowce, statki-cy-



sterny, statki-pogłębiacze i łamacze lodów, wytworne prywatne jachty, szare torpedowce i krążowniki, stare handlowe landary, żaglowce duże, małe, sportowe, wszelkie odmiany motorówek, łodzie rybackie. Porządek utrzymywały policyjne motorówki, krążyły uzbrojone armatami stateczki agentów prohibicyjnych.

Powoli z mgły porannej zaczęła się wyłaniać zębata linja nowojorskich drapaczy nieba. Moi przyjaciele z Alabamy z dumą pokazywali mi śpiczastą wieżę najwyższego, 55-piętrowego „Woolworth Building“ monumentalny blok „Telephone and Telegraph Building“, wyolbrzymiony Campanile wenecki—„Metropolitan Life Building“. Mijamy „Statuę Wolności“, spokojną w linjach, poprawną w proporcjach rzeźbę klasyczną. Kiedyś wydawała się ona olbrzymią—obecnie wobec drapaczy nieba ogromnie zmaląa.

Zajeżdżamy do doków „United States Lines“.

W przeddzień przyjazdu do Nowego Jorku znalazłem w kabinie na łóżku szczegółowy kwestjonariusz urzędu celnego: ile mam walizek, ile ubrań, bielizny, jakie wiozę klejnoty, obrazy, antyki. Uczciwie odpowiedziałem na pytania i stosownie do instrukcji zwróciłem kwestjonariusz kasjerowi okrętowemu.

Bezpośrednio z okrętu skierowano nas do olbrzymiej i bardzo jasnej hali rewizyjnej. Na ścianach, w odstępach kilkumetrowych, były wymalowane wszystkie litery alfabetu. Kazano mi stanąć pod literą R. — pierwszą literą mego nazwiska. Jeszcze na dworcu w Paryżu kartki z literą R zostały nalepione na moje walizki; przyjechały na motorowym wózku,



zjawił się celnik z moją deklaracją w ręku, szybko sprawdził, że istotnie nie wwożę ani klejnotów, ani antyków, przybił na deklaracji stempelek...

Z tą chwilą moje stosunki z rządem Stanów Zjednoczonych zostały zakończone. Przez cały czas pobytu w Ameryce nikt mnie nigdy nie pytał o paszport, nie było mowy o jakich bądź meldunkach, wymeldunkach, nikt nie sprawdzał nazwiska, które podawałem w hotelach.

Podstawowym dogmatem ustroju amerykańskiego jest niewtrącanie się państwa do spraw prywatnych. Policja łapie (niezawsze) zabójców, złodziei, gorszyieli niewinnych, handlarzy wódką — wszelkimi innymi poczynaniami obywateli i gości wcale się nie interesuje.

Moi alabamczycy wypisali mi na karteczce bardzo trudne słowa, — dotychczas nie wiem jak to się wymawia: *H o t e l W e n t w o r t h* W. 46 str. Pokazałem ten skrypt szoferowi solidnej taksówki, rosłemu murzynowi w nadzwyczaj kosmatym granatowym swetrze. Pojechaliśmy przez długie proste ulice, zabudowane trzypiętrowymi szeregowymi domami z ganeczkami — londyńskiego typu. Razem z paczką innych samochodów wjechaliśmy w coś, co mi się wydało tunelem albo przejazdem pod skrzyżowaniem ulic, gdyż nad naszymi głowami również rozjeżdżały samochody. Szofer coś objaśniał z murzyńska po angielsku — nie zrozumiałem. Wykupił jakiś bilet — stoimy — czekamy.

Nagle widzę, że domy ulicy zaczynają się oddalać; byliśmy nie w tunelu, ale w wielkim piętrowym promie, przewożącym samochody przez rzekę Hudson. Jest ona tak szeroka i głęboka, że dotychczas jeszcze dzielnica doków, Jersey City, nie jest połączona mostem z centrum Nowego Jorku na wyspie Manhattan. Przeprawa trwała kilkanaście minut. Od brzegu do hotelu było już dość blisko.

Polecono mi hotel Wenworth, gdyż był on doskonale położony, tuż około Fifth Avenue i Broadway, i względnie niedrogi. Za cztery dolary dziennie dostałem pokój na trzecim piętrze, wytwornie umeblowany, bardzo czysty, z łazienką — ale bez okna. Pokoje z oknami, na wyższych piętrach, były znacznie droższe. Przekonałem się, że okno jest obecnie takim samym anachronizmem, objawem snobizmu, jak wieżyczka ze strzelcami. Wentylatory doskonale powietrze oczyszczają, lampki elektryczne różnej siły i koloru, umieszczone w suficie, w ścianach, w głowie łóżka, oświetlały pokój dużo skuteczniej, niż słońce.

#### IV. NOWY JORK.

Zastałem w Nowym Jorku prześliczną, słoneczną pogodę. Drapacze nieba „Fifth Avenue“, pobudowane z jasnego wapniaka lub polewanych barwnych cegiełek, lśniące niezliczonymi rzędami okien, strzelały w górę lekkie, radosne. Środkiem ulicy, niewiele co szerszej od Marszałkowskiej, płynęły fale luksusowych samochodów, piętrowych omnibusów. Ruch pie-

szy mniejszy, niż u nas, ale ani śladu dziadów, żebraków, oberwańców — wszyscy bez wyjątku czysto i zamownie ubrani. Na rogach ulic gentlemani poprzebie-rani za św. Mikołaja, w czerwonych płaszczach, fu-trzanych czapach, z przyprawionemi siwemi brodami dzwoniли dzwonekami, kołatali kołatkami: zbierali składki na Gwiazdkę dla Armji Zbawienia. Samochody naogół posuwały się cicho, trąbiły zrzadka i z sensem.

Wystawy sklepowe „Fifth Avenue“ — jest to re-wja najpiękniejszych i najkosztowniejszych towarów świata całego: samochody Rolls Royce, Istota Fran-cetti, Hispano-Suisa; weneckie szkła i koronki; per-skie dywany, renesansowe obrazy, greckie i egipskie wykopaliska, chińskie porcelany i rzeźby; paryskie suknie, pończochy, impresjoniści i moderniści; angielskie sztychy, srebra, meble. Mnóstwo biur turystycz-nych i okrętowych, zachwalających przy pomocy ol-brzymich afiszów, fotografii, panoram, wydawnictw, cuda naturalne i sztuczne wszystkich pięciu konty-nentów.

Gapiąc się na wszystkie strony doszedłem do miejsca spacerowego eleganckiego świata — Central Parku. Ani się umywa do naszych Łazienek lub Sa-skiego ogrodu. Kilka kilometrów kwadratowych skali-stych pagórków porastają zrzadka drzewa, najwyraż-niej źle się czujące w amfiteatrze drapaczy nieba — i w wyziewach samochodów. Dużo stawów, dróżki wyasfaltowane, szerokie doskonałe drogi dla jazdy stych źle się czujące w amfiteatrze drapaczy nieba—



konnej i samochodów; ale zupełny brak architektonicznego akcentu.

Zbliżał się wieczór; zawróciłem do hotelu. Po drodze herbatę wypilem w „Hiszpanji“. Poza sięgającymi od sufitu do ziemi oknami, pod szklanym dachem, w zielonkawem, jakby księżycowem świetle otwierało się obszerne andaluzyjskie kortile. Obsługiwały gości smagłe dziewice w koronkowych mantylach, z wysokimi grzebieniami w czarnych włosach; mebelki, zastawa stołowa, wszystko w hiszpańsko-maurytańskim stylu. Tea-room o tej godzinie pełen był eleganckich pań. Mężczyzn ledwo paru: wniosek — Amerykanie nie mają czasu chodzić na fajfokloki.

Ruch na ulicach Nowego Jorku osiąga największe napięcie między 6 a 7. Zamykają się biura i sklepy, tłumy pieszych zalewają trotuary, fale samochodów wzbierają, jak Wisła na świętojankę.

Wieczorem poszedłem na „Broadway“.

Spokojna ulica „W. 46 str.“ wyprowadziła mnie na skrzyżowanie „Seventh Avenue“ i „Broadway“, do centrum wszelkich nowojorskich rozkoszy.

Dookoła płonął niegasnący fajerwerk ogłoszeń świetlnych; migotały wszelkimi kolorami olbrzymie napisy: „Roxy“, „Albert“, „Cadillac“, „Paramount“, „Capitol“, przelatywały błyskawice, kręciły się tęczo-we koła, wykwiwały ogniste wieże, gdzieś wysoko, jakby zawieszane na czarnem niebie, zjawiały się, znikaly pałace z kryształu. Rozbawione tłumy, stłoczone jak owce, powolutku posuwające się samochody, teatr ko-



lo kina, koło caffeterii restauracja. Wszystkie sklepy otwarte.

Wyiskrzzone, pstrokate szyldy, portjer olbrzym w mundurze niemieckiego feldmarszałka skusili mnie do „Jardin Royal, Chinese and Amerikan Restaurant“. Cała wyzłocona wielka okrągła sala wspierała się na szklanych słupach, z błękitno świecącymi kapietelami; szklana tafla, umieszczona pośrodku sufitu, dawała również błękitne, jakby przedświtowe światło; od tafli tej do podłogi spływały fałdy namiotu w niebieskie i pomarańczowe pasy. Stoliki były rozstawione na szerokich amfiteatralnych schodach. Na środku sali tańczył tuzin „girls“, solistki i soliści, pokazywali sztuki akrobacji, występowali śpiewacy, monologięści. Po programie był dancing: amerykańskie pareczki spokojnie, z umiarem, tańczyły charlestona i tango.

Menu było pół chińskie, pół amerykańskie. Na początek dostałem tak zwany „cocktail“, drobno posiekany i podany w kieliszku kompot z ananasa i surowego jabłka — do tego, jako przekąska, serca seleków i zielone oliwki, potem był intensywny buljon, czerwony łosoś w białym sosie, jakaś dziwna, ale doskonała potrawa chińska z mięsa, klusek, młodych bambusów, ostrej grzybowej przyprawy, potem sałata z zielonej sałaty, płatków korniszonów, pomarańczy, zielonego pieprzu, ananasa, pomidora, równocześnie słodka, gorzka, słona i kwaśna — prawdziwie syntetyczne jedzenie — smaczne. Na deser tort rodzynekowy, lody i chińska herbata. Jako trunek „ginger ale“ — imbirowe piwo bez alkoholu. Smakuje jak

limonada z papryką. Usługiwali chińczycy. Za wszystkie te gastronomiczne, wzrokowe i słuchowe rozkosze zapłaciłem niecałe dwa dolary. Warto było.

Zaszedłem jeszcze do „Roxy Theater“. Otworzony na jesieni 1927, uchodził za ostatnie słowo amerykańskich wspaniałości (podobno obecnie jest już zakasowany przez nowy gmach Ziegfeld Folies). Wytworzeni młodzieńcy w niebieskich frakach, białych spodniach, zapraszali do olbrzymiego halu, w olśniewająco wyzłoconym, ekstra-barokowym stylu. Opłata 95 centów, którą uiściłem przy wejściu, upoważniała mnie do korzystania z całej amfilady salonów, czytelnicy, palarni, strzelnic, a także do zajęcia komfortowego fotelu, w dowolnym rzędzie, i na dowolną ilość czasu, w olbrzymiej sali teatralnej. Widowisko zaczynało się o 12 w południe, kończyło o 12 w nocy. Mniej więcej co trzy godziny powracał ten sam numer programu. Z pod ziemi na platformie wyjechała liczna i doskonała orkiestra, odegrała parę symfonicznych kawałków. Orkiestra zjechała na dół, zaczęła się feeryczna rewja z setkami ślicznych panien, „girls“ coraz to inaczej, ale zawsze mniej więcej przyzwoicie ukostjumowanych, z popisami wirtuozów na instrumentach i na trapezie i t. p. Następnie jakiś „słynny profesor“ wygrywał na „największych na świecie organach“ sentymentalne piosenki; słowa tych piosenek były równocześnie wyświetlane na ekranie. Wreszcie na zakończenie obfity program kinowy — dziennik filmowy, połączony z fonografem głosów i odgłosów bieżących wydarzeń, ruchome rysunki, dowcipna i dobrze grana

komedja Fox'a „Jedwabne nogi“. Projekcje nadzwyczaj czyste i wyraźne.

95 centów — taniej, niż w naszych teatrzykach.

## V. NOWY JORK.

Nowy Jork rozpościera się nad labiryntem zatok, rzek i fjordów. Samo centrum, New-York City, leży na podłużnej wyspie Manhattan, w miejscu wlewania się do oceanu Hudson River i East River. Plan miasta pomyślany jest bardzo przejrzysto. Równoległe do rzek wzdłuż całej wyspy biegnie „Broadway“ (Szeroka droga), kilkanaście innych równoległych i prostych „Avenue“. Poprzeczne ulice, przeprowadzone w równych odstępach, pod kątem prostym do „Avenues“, nazywają się „Streets“ i noszą numery porządkowe. Jedynie w najstarszej dzielnicy miasta, koło ratusza, spotyka się taką, jak w Europie, płataninę ulic i nazw. We wszystkich innych dzielnicach niepodobna jest zablądzić.

Amerykański zmysł organizacyjny radzi sobie skutecznie z olbrzymim ruchem samochodowym. Samochodów w Nowym Jorku jest pięćset razy więcej, niż w Warszawie; przy warszawskiej jeździe cała ludność byłaby wytępiona, wszystkie latarnie powywracane. Tymczasem procent wypadków jest bezporównania mniejszy, niż u nas. Przyczynia się do tego publiczność, podnosząca gwałtowne protesty w prasie, radach miejskich i stanowych z powodu każdej poważniejszej katastrofy; sprawna policja, operująca



całym aparatem sygnałów; a przede wszystkim bardzo ostre prawodawstwo.

Amerykańskie sądy nie żartują — za splunięcie na podłogę kolejki podziemnej skazują na — 500 dolarów kary albo trzy miesiące więzienia. Tem bardziej nie kalkuluje się najeżdżanie przechodniów i łamanie przepisów ruchu.

Od czasu wojny Nowy Jork jest w ciągłej przebudowie. Ceny placów tak poszły w górę, że w centrum opłacają się jedynie drapacze nieba. Dotychczasowe cztero-pięciopiętrowe domy i pałace krajane są jak torty przez elektryczne maszyny, maszyny do kopania pogłębiają o kilkanaście metrów fundamenty — w oczach zaczyna wyrastać stalowy olbrzymi szkielet. Wszystko się robi równocześnie. Na piętnastem piętrze robotnicy nitują wiązania, na dwunastem układają żelazne ruszty podłogi, na dziesiątem wylewają cementem. W wysokich budowlach użycie drzewa jest zabronione; nawet drzwi i okna są z metalu.

Najlepiej podobno rentują się domy 15-20 piętrowe. Drapacze nieba 30, 40 i więcej piętrowe budowane są przez wielkie firmy w celach reklamowych i zajęte przez biura i zarządy.

Ogromna część ludności Nowego Jorku mieszka we własnych domkach w podmiejskich osiedlach.

Przedsiębiorstwa budowlane zakupują obszerne tereny, przeprowadzają inwestycje, sprzedają: sześciobowy domek, z centralnem ogrzewaniem, kanalizacją i światłem elektrycznem za 400 — 500 dolarów jednorazowej wpłaty, 20 do 30 dolarów spłaty mie-

siężnej. Przy amerykańskiej skali zarobków (robotnik budowlany zarabia od 7 do 15 dolarów dziennie) każdy, kto chce, może sobie taki domek zafundować.

W centrum Nowego Jorku mieszkania są bardzo drogie; czynsz wynosi od pokoju 30, 40, 50 dolarów miesięcznie. Najdroższa jest dzielnica koło Central Parku, tak zwana „dzielnica milionerów“.

W okolicach Nowego Jorku zwiedziłem miastogrody Forest Hill i Larchmont. Ulice, wszędzie gdzie na to topografia pozwala, przecinają się pod kątem prostym, z obu stron wyasfaltowanej i polanej gudronem jezdni mają szerokie trawniki i podwójne rzędy drzew. Trotuar wąski, metrowy. Domy, pobudowane w odstępach kilkumetrowych od trotuaru, utrzymane w stylu angielskich cottage albo w tak zwanym „kolonialnym“, bardzo przypominającym kolumnkami z przodu, bielonymi ścianami, dachówkowymi albo gontowymi dachami — klasyczne polskie dworki. Duże przestrzenie zarezerwowane dla sportów, pola golfowe, tenisowe, skasowanie płotów granicznych, nadają tym miejscowościom wygląd wielkich parków. Przy każdym domu jest garaż samochodowy. Z centrum miasta połączenie kolejowe, tramwajowe i autobusowe — do wyboru.

Zwiedziłem oczywiście również słynną nowojorską dzielnicą giełdową, położoną między „City Hall“, pięknym budynkiem z końca XVIII wieku, a „Battery Park“, założonym na najdawniejszych fortyfikacjach.

Broadway w tem miejscu przypomni mi raczej górski stromy wąwóz, niż europejską ulicę. Dwoma

spiętrzonymi ścianami wznosiły się drapacze nieba banków i linii okrętowych; od oceanu dął wściekły wiatr: jak jakieś olbrzymie ptaki fruwały w powietrzu gazety; wezbranym strumieniem toczył się zmieszany tłum samochodów i ludzi. Na Wall Street tłok jeszcze większy.

W samym środku tego kotła, smażącego interesy świata całego, w otoczeniu olbrzymich bloków stoi Trinity Church, romantyczny gotycki kościółek, obok niego skromny, jakby wiejski cmentarzyk. O parę ulic dalej znajduje się „Fraunces Tavern“, słynna restauracja, w której jadali Washington, Lafayette, Kościuszko. Wszystko pozostało tak, jak było, nawet służba nosi francuskie fraczki i peruki. Na piętrze urządzone jest „Muzeum“. Parę salek wypełnionych portretami, bronią, autografami bohaterów walk o niepodległość. Muzeum zawsze jest natłoczone zwiedzającymi.

Na nabożeństwa w „Trinity Church“ nie można się docisnąć.

W czasie mojej podróży wpoprzek Stanów Zjednoczonych wszędzie napotykałem to dziwne dla nas, europejczyków, połączenie zacieklej pogoni za zyskiem, kultu bohaterstwa i gorącej religijności.

## VI. NOWY JORK.

Jak z dziurawego worka, arcydzieła sztuki wyciekają z Europy. Od czasu wojny światowej niektóre



muzea amerykańskie bogactwem zbiorów dorównały Louvre'owi, znacznie przewyższając go organizacją.

Przypadek chyba pozapychał wszystkie kąty dawnych salonów i sypialni królów francuskich obrazami, rzeźbami i meblami. W ciemne dni wogóle nic dojrzeć nie można, w jasne oślepiają refleksy słońca.

Wielkie, ciche sale nowojorskiego „Metropolitan Museum“ oświetlają równem łagodnem światłem lampy elektryczne, ukryte za mlecznem szkłem sufitów.

W porządku dydaktycznym, starannie selekcjonowane, porozmieszczane są arcydzieła egipskie, greckie, rzymskie, włoskie, holenderskie i flamandzkie. Osobne skrzydło zajmują rekonstrukcje wnętrz amerykańskich kolonistów XVII i XVIII wieku. Najpiękniejszy jest dział Dalekiego Wschodu. Kolekcje europejskie dają ledwie przedsmak cudów chińskiej ceramiki, malarstwa, rzeźby, perskiego tkactwa i majoliki, zgromadzonych w tem muzeum. W dziale tkanin, na pograniczu Wschodu i Zachodu, wisi kilka pierwszorzędných egzemplarzy pasów słuckich. Biblioteka posiada wszystkie ważniejsze wydawnictwa artystyczne, kilkadziesiąt tysięcy reprodukcji ikonograficznych. W jednym skrzydle urządony jest ogród zimowy w stylu pompejańskim, w podziemiach restauracja. Wiezorami serje wykładów, odczyty.

Przepędziłem parę cudnych dni w tem zaczerpniętym środowisku sztuki i nauki, odpoczywałem tam po oszałamiającem tempie i zgiełku życia nowojorskiego.

„Brooklyn Museum“ posiada również wielki gmach, umiejętnie dostosowany do potrzeb wystawowych, wypełniony przeważnie zbiorami etnograficznymi. Najlepiej reprezentowana jest sztuka indyjska z obu Ameryk i sztuka plemion afrykańskich i narodów skandynawskich. Państwo czesko-słowackie ofiarowało muzeum obfitą kolekcję haftów i strojów ludowych. Z polskich rzeczy zauważyłem tylko kilka kolorowych druczków — tak zwane fryzy ludowe Pillatiego.

Część sal zajmowała wystawa reprezentacyjna sztuki duńskiej — prześliczne porcelany kopenhaskie, ładne srebra — malarstwo i tkactwo zupełnie słabe. Frekwencja bardzo duża, ruch sprzedażny również.

W Nowym Jorku są 44 bezpłatne publiczne biblioteki; największa stoi w matematycznym centrum miasta na rogu Fifth Avenue i 42 — 44 Street. Wielki, klasyczny marmurowy gmach mieści półtora miliona książek, muzeum starych druków i okładek, czytelnie dla dzieci, niewidomych. Zaskakująca jest sprawność obsługi. Kartkę z wypisanym tytułem książki złożyłem urzędnikowi w głównej sali — dostałem wzamian numerek. Po kilku minutach nad kontuarem z boku wyświetlił się mój numer — książka była już wyszukana i dostarczona. Tysiące ludzi zapełniają czytelnie biblioteczne, na pozór nikt ich nie dozoruje — książki jednak nie giną.

Kinematografia przeżywa obecnie w Ameryce kryzys. W salach widowiskowych, nawet należących

do wytwórni filmowych, jak „Paramount“, „United Artists“ coraz to bardziej rozrasta się „Variété“, tańczące panny wypierają ekran. Programy przedstawień są mniej więcej takie same jak w „Roxy“, ceny bardzo dostępne, od 25 do 95 centów.

Teatry podobno prosperują dość słabo — dobre miejsca kosztują 3 do 6 dolarów. Byłem tylko w jednym „Republic Theater“. Znajomi esteci radzili mi tam iść, aby zobaczyć „najlepszą trupę Stanów Zjednoczonych“. „Porgy“, szlachetny meldramat, został odegrany z ogromną ekspresją gestów, z przejęciem się, przez aktorów koloru czekolady, kawy, mocnej herbaty. Najlepszą trupą Stanów Zjednoczonych była trupa murzyńska.

Przypomniało mi się określenie paryskiego krytyka: „muzyka amerykańska — jest to muzyka afrykańska“.

W „Variété“ różnych miast zdarzyło mi się widzieć dobrze odegrane, przez białych, w stylu realistycznym, krótkie dramaty i komedje.

Rdzenni amerykanie chwalą sobie własną kuchnię — nie spotkałem europejczyka, któremu by smakowała. Potrawy są obfite, pożywne, zdrowe, ale dziwne bez smaku — nawet najpiękniejsze na oko owoce i warzywa. Jest to podobno skutek przetrzymywania produktów na lodzie.

Skala cen jest ogromna.

W pierwszorzędnym hotelach obiad bez trunków kosztuje kilka dolarów; w lokalach skromniejszych



jedzenie równie obfite — i niesmaczne, dolara do dwóch.

Ogromna większość amerykańkan jada w tak zwanych „caffeteriach“, restauracjach bez kelnerów z samousługą.

Przy wąskim wejściu siedzi panienka i rozdaje bilety. Za kontuarem, idącym wpoprzek całej sali, biało ubrani młodzieńcy wydają gorące lub zimne potrawy, kawę, herbatę, ciastka, owoce — i dziurkują odpowiednią rubrykę biletu. Samemu sobie trzeba wziąć tackę, nóż, widelec, zanieść potrawy do stolika. Chleb, cukier, masło — darmo. Przy wyjściu — panienka sumuje znaczki biletu, ściąga wpłatę.

Wybór potraw w „cafeteriach“ jest ogromny. Za 20 — 30 centów można dostać porcję ostryg, homara, ananasa. Najwyszukańsze potrawy dostępne są w Ameryce dla każdego.

W Nowym Jorku wszystkie najniższe funkcje — zamiataczy ulic, tragarzy, pucybutów, spełniają murzyni. Przenoszą się tłumnie na północ, aby uniknąć prześladowania Ku-Klux-Klanu. Podobno w południowych stanach czarny, któryby się odważył skorzystać z przysługującego mu konstytucyjnie prawa wyborczego, dostaje kulę w łeb. W rezultacie 12 milionów murzynów Stanów Zjednoczonych nie ma ani jednego posła ani senatora.

W Stanach Północnych biali obchodzą się z murzynami łagodniej, ale nie utrzymują nigdy z nimi stosunków towarzyskich. Nie zdarzyło mi się widzieć

białych i czarnych, wspólnie siedzących w restauracji lub idących po ulicy.

Wśród paruset tysięcy polskich poddanych w Nowym Jorku przeważają żydzi. Ulegają oni bardzo szybkiej amerykanizacji, golą się, strzygą, charakteryzują na jankesów; wszystkie żydóweczki są utlenione, noszą loczki jak amerykańskie bohaterki na obrazkach walk o niepodległość.

## VII. WASHINGTON.

Przez trzy tygodnie od rana do nocy zwiedzałem nowojorskie muzea, wystawy, biblioteki, budowle, osiedla podmiejskie, snułem się po coraz to nowych parabolach i przekątniach ulic, błądziłem w labiryntach kolejek podziemnych, odpoczywałem w omnibusach, posuwających się dwa kilometry na godzinę wśród samochodowych zatorów śródmieścia. Jak Amerykanie, każdy wieczór spędzałem w kino-variété. Szedłem spać wcześniej, bardzo zmęczony napięciem i skalą tak bardzo nowego świata.

Wszystko niby tak samo, jak u nas: chodzą i jeżdżą po ulicach, na scenach sztuki wyczyniają — ale tempo ruchu jest dwa razy szybsze, gmachy dziesięć razy większe, katarakty światła, powódź pojazdów, odległości olbrzymie — i to właśnie męczy przybyśsza z Europy.

Z Nowego Jorku do Washingtonu wyjeżdża się z „Pennsylvania Station“, olbrzymiego kompleksu budynków, mieszczącego w sobie całe ulice sklepów, re-

stauracyj, urzędów, biur. Bardzo efektowna jest główna poczekalnia, wzorowana na termach Karacalli, wyłożona płowym, sprowadzonym z Włoch kamieniem, tak wielka, że kopułę sufitu i arkady przysłaniają błękitne opary.

Pomimo tłumów podróżnych niema ani zamieszania, ani ogonków przed kasami. Cały system przejść, wind, doprowadza każdego bezpośrednio do pociągu. Wszyscy tragarze murzyni.

Amerykańskie wagony wewnętrznem urządzeniem przypominają nasze tramwaje: niema przedziałów, przejście środkiem, pod oknem poprzeczne wyściełane ławeczki na dwie osoby. W teorji jest tylko jedna klasa, ale za dopłatą dostaje się miejsce w wagonach Pulmanowskich, z fotelami zamiast ławeczek. Ceny za przejazd znacznie wyższe, niż u nas, szybkość też większa.

Z godzinę wyjeżdżaliśmy z Nowego Jorku i jego przedmieść, zabudowanych jednorodzinny domkami i fabrykami. Potem minęliśmy kilka wielkich miast, dwumiljonową Filadelfję, Baltimore, sznurki lotnisk podmiejskich willi, zamożne folwarki, laski. Główną ozdobę płaskiego pejzażu stanowiły niezliczone afisze. Największe i najpiękniejsze z nich przedstawiały okręt z napiętymi wiatrem żaglami, jaskrawymi barwami wymalowany, w świetle zachodzącego słońca, na tle seledynowego nieba i granatowych bałwanów. Napis — Hotel Mayflower, Washington. Nie dałem się znieść: ostrzeżono mnie, że jest to najdroższy hotel w Stanach Zjednoczonych. Stają w nim se-



natorzy, posłowie, wielcy geszefciarze, szukający stosunków, i tak zwani „amerykańscy hrabiowie“, powojenna kasta bogatych snobów.

W „Capitol Park Hotel“ za trzy i pół dolara dostałem pokój z łazienką i dwoma oknami — jedno wychodziło na nieskończone kolumnady dworca, przez drugie widać było, na tle czarnego nieba, wysoką, białą kopułę, lśniącą jakby w słonecznym świetle.

Był to słynny „Capitol“, mieszczący w sobie Sąd Najwyższy, Senat i Parlament. W nocy oświetlają go ze wszystkich stron baterje potężnych reflektorów. Pobudowany w stylu klasycznym, na wzgórzu, dominuje nad całym miastem, a panuje, obecnie, nad całym światem.

Na skłonach wzgórza park pełen pięknych starych drzew, pomników, w ramach kolumnad marmurowych bibliotek, urzędów, gmachów publicznych. Od „Capitolu“ promieniuje we wszystkie strony dziedziść bardzo szerokich, zadrzewionych alei.

Pierwsza aleja na prawo, jak strześlił, prowadziła do Białego Domu. Na mapie wydawało się dosyć blisko — idę, idę, idę — koło jakichś hotelisk, kolumnad, pałacyków, znowuż kolumnad, hotelisk — Białego Domu ciągle nie widać: nie zbłądziłem, ale nie zorientowałem się w skali Washingtonu: najważniejsze ulice — jak Aleje Jerozolimskie; nie wolno budować drapaczy nieba, gmachy mają po paręset metrów frontu — w rezultacie odległości są ogromne, bez samochodu nie da się rady.

Dobrnąłem wreszcie do celu.

Rezydencja prezydenta stoi wśród obszernego parku, bramy otwarte, nie widać wart ani posterunków. Fronton „White House“ kubek w kubek przypomina dwór we wsi Skrwilno, powiatu Rypińskiego. Piętrowy regularny kwadrat, kryty mało spadzistym dachem, bielone gładkie ściany, podjazd na czterech kolumnach — te same proporcje, obramienia okien. Podobieństwo kolonialnego stylu amerykańskiego i polskiego klasycyzmu rzuca się w oczy.

Następnego ranka odwiedziłem poselstwo polskie.

„Biały Dom“ mógłby stać w Polsce — „Polskie Poselstwo“ jest to typowy pałacyk dorobionego gešzefciarza z nad Missisippi albo fabrykanta guzików do pokrowców do samochodów Forda. Elewacja mniej więcej poprawna, urządzenie wnętrza — niby to gustowne — ale wszystko razem rozpaczliwie nudne, kosmopolitycznie banalne. Żebyż jakiś akcent odmienny — żebyż choć jeden pokój był tak polski, jak jest czeskiem — całe poselstwo na Szopena 13!

„Biały Dom“ jest nieduży i skromny, wszystkie inne publiczne gmachy w Washingtonie przerażają zwiedzającego rozmiarami; sale National Museum również ciągną się bez końca. Zapewniają je rupiecie wielkiej wojny — mundury, buty, czapki wszystkich armij i szarż, karabiny, armaty, torpedy, kuchnie polowe, wozy sanitarne i t. d., okazy mineralogiczne, zoologiczne, etnograficzne, także trochę obrazów i rzeźb różnych epok i krajów. Wszystko przemiesane, jak groch z kapustą: naprzeciw rodziny eski-

mów z papier maché, w oryginalnych futrach, cuchnących antymolowem proszkami — prześliczne portrety angielskie Reynolds'a, Romney'a.

Opowiadano mi potem, że muzeum to jest pośmiewiskiem całej Ameryki.

Washington ma jeszcze dwa inne, mniejsze, ale doskonale urządzone muzea fundacji prywatnej, mnóstwo bibliotek, „memorial“ (gmach poświęcony czyjejs pamięci), łóż masońskich, kościołów wszystkich wyznań, stadjonów sportowych — zawsze pobudowanych z marmuru lub kamienia ciosanego, w uroczystym stylu klasycznym, z kolumnadami, frontonami, monumentalnymi schodami.

Z Nowym Jorkiem kontrast olbrzymi — tam spiętrzenie domów, reklamiarstwo, gorączkowy ruch, tutaj spokój, wielkopański gest, cesarsko-rzymska skala pomysłów i realizacji. Pobudowali Washington ludzie bardzo ambitni, o logicznych, jasnych umysłach, dalekich planach...

Nowy Jork jest największym portem i miastem handlowym Stanów Zjednoczonych — stolicą jest Washington. Wygląd tego miasta daje niezbite świadectwo o umysłowości rządzących pieniędzmi i krajem.

Historja Stanów Zjednoczonych to jeden nieprzerwany ciąg wojen, zdobywania i kolonizowania coraz to nowych obszarów.

Założyli Stany Zjednoczone fanatycy o gorącej, upartej woli i rzutcy, chciwi awanturnicy. Instynkty odziedziczone po tych przodkach głęboko tkwią we



współczesnych jankesach — siedzi w nich jakaś podświadoma żądza czynu, którą obecnie ochrzcili mianem „good will“, chęcią pomagania.

Marzy im się rola „porządkowaczy“ całej kuli ziemskiej. Chcą na niej zaprowadzić pokój—oczywiście „Pokój Amerykański“.

Aby nawrócić inne narody do tak wzniosłej idei — warto trochę powojować, a przytem wojna — jest to najwspanialszy business, sport nad sportami.

### VIII. PITTSBURG.

Z Washingtonu do Pittsburga przejeżdża się wpoprzek amerykańską arkadję—„Maryland, sweet Maryland“ („Maryland, słodki Maryland“, piosenka patryjotyczna). Wśród falistych, zalesionych wzgórz, obszernych sadów, nad rzeczkami i stawami rozrzucone są bogate fermy, składające się zazwyczaj z kilkupokojowego piętrowego domu mieszkalnego, drugiego znacznie większego budynku, mieszczącego oborę, stajnię, śpichlerz, stodołę i garaż dla nieodzownego Forda. Stan Maryland ma łagodny klimat, doskonałą glebę, produkuje, oprócz pszenicy, kukurydzy, różnych warzyw i owoców, słynny tytoń „maryland“.

Pensylwanji nie widziałem, gdyż zapadła noc. Pittsburg zwiastowały wielkie ognie pieców hutniczych, jarzące się kopalnie i fabryki.

Stałem w „Fort Pitt Hotel“.

Bierze on swą nazwę od drogocennej pittsburgskiej relikwji — kwadratowej szopy z wielkich bier-

wion, zbudowanej temu lat sto pięćdziesiąt przez białe twarze w miejscu, gdzie rzeki Allegheny i Monongahela zlewają się w rzekę Ohio.

Naokoło tego pierwszego forciku wyrosło olbrzymie miasto, centrum przemysłu żelaznego i węglowego Stanów Zjednoczonych.

W porównaniu z Pittsburgiem, Łódź i nasze Zagłębie wydały mi się cichymi ustroniami: gęsta, tłusta mgła przenika wszędzie; w pół godziny po włożeniu kołnierzyk staje się kompromitująco brudny; ręk nie można się domyć; kicha się na czarno.

Ulice zapchane ciężarówkami samochodami, w górze gmatwanina żelaznych rusztowań, rur, szyn, latają wagoniki, poruszają się żórawie, dźwigi. Jezdnie i trotuary rozkopane, większość domów albo w rozbiórce, albo w budowie. Nieznośny gwałt i fetor. Słowem — wcielone piekło z broszurek, propagujących powrót na łono natury.

Tu właśnie Andrew Carnegie dorobił się olbrzymiego majątku i tu założył swój słynny Instytut.

Na wzgórzu, ponad falami ciężkich mgieł, z wystającymi, jak kominy tonących okrętów, kominami fabryk, wśród drzew i trawników parku leży cała dzielnica szkół zawodowych: „College of Industries“, „College of Engineering“, Szkoła Sztuk Pięknych, Stadiony, hale maszyn, laboratorja, bursy dla kilkuset studentów. Główny, bardzo wielki gmach, w stylu rzymskiego renesansu, mieści w sobie bibliotekę, sale koncertowe i teatralne, muzeum przyrodnicze i galerje sztuki.

W galerjach tych odbywa się rokrocznie międzynarodowa wystawa malarstwa. Instytut Carnegie sprowadza na własny koszt obrazy wybitnych artystów ze wszystkich zakątków świata, także z Polski. W ostatniej wystawie brali udział Wojciech Weiss i Alfons Karpiński z Krakowa, Ludomir Ślendrański z Wilna.

Wystawy Międzynarodowej już nie zastałem: była przeniesiona do Brooklyn Museum w Nowym Jorku, następnie miała jechać do San Francisco.

Dyrektor Instytutu, pan Saint-Gaudens, mówił mi, że polskie eksponaty naogół podobają się, lecz nie znajdują nabywców z powodu zbyt wygórowanych cen. Polscy artyści, eksportujący do Ameryki, mają swoisty system kalkulacji handlowej: określającej wartość cyfry nie zmieniają, przekreślają „złoty” i piszą „dolarów”. W rezultacie polskie obrazy są najdroższe i nikt ich nie kupuje.

„Carnegie Institut” posiada interesującą kolekcję malarstwa amerykańskiego, obrazy Whistlera, Winslow Homere’a, Sargente’a, dobrze jest reprezentowana sztuka francuska i angielska, paru współczesnych Hiszpanów, Włochów, Belgów. Dolne sale zajmuje dydaktycznie skompletowana kolekcja odlewów gipsowych rzeźby i detali architektonicznych. Piękne kolekcje bronzów i grafiki. Polskich prac wcale nie zauważyłem.

W Pittsburgu i okolicy mieszka paręset tysięcy Polaków. Wielu z nich już się dorobiło, są wybierani do rad miejskich i gminnych, liczą się z nimi. Gdyby



się tem ktoś zajął, możnaby napewno w Instytucie Carnegie zorganizować dział polski.

Hotele amerykańskie starają się dostarczyć gościom wszelkich możliwych udogodnień, ale wszystkie prześcignął „Fort Pitt Hotel“. Tak jak w innych, pokój był bardzo czysty, obok łazienka i prysznic, miękkie łóżko, głębokie fotele, woda w kranach gorąca i zimna i do picia „lodowa“, lampki elektryczne we wszystkich kątach, dla każdej czynności inne; przy łóżku radio, telefon, na umywalni mydło, na stole biblja, plan miasta, rozkład kolejowy, po szufladach papiery listowe, pocztówki, blankiety telegraficzne; nici i igły, szczotka do rzeczy, zamszowa ściereczka do odkurzania butów; rano darmowa gazeta. Wszystko to było, ale ponadto zastałem jeszcze w hotelu — dla dyrektorów fabryk, inżynierów, komiwojażerów — specjalną torebkę do składania zużytych nożyków od żyletki i wytworne wydanie antologii poetów pittsburskich.

Liryki.

Ameryka jest pełna niespodzianek!

## IX. BUFALLO. NIAGARA FALLS.

Ostry wiatr od jezior, powietrze kryształowo czyste. Z pokoju na piętnastem piętrze Hotelu Staltlera (1300 numerów) rozciągał się widok na całe Buffalo, na stosunkowo niewielkie centrum handlowe, zabudowane drapaczami nieba, dalej mrowisko domków jednopiętrowych, poprzecinane prostemi, za-

drzewionemi alejami. Zamykała horyzont lśnica tafla jeziora Erie.

Szeroką aleją, zabudowaną willami renesansowymi i gotyckimi zameczkami, dojechałem do cudnie położonych wśród parku, nad stawami, marmurowych kolumnad, tarasów i frontonów Albright Art Gallery.

Galerje te ufundował kosztem — nie pamiętam ilu — milionów dolarów, buffalowski kupiec, Albright. Zmienną koleją biznesów stracił cały majątek. Chciano mu ofiarować synekurę. Nie przyjął. Pracuje w jakiejś firmie za paręset dolarów miesięcznie. W zarządzie Albright Gallery pracuje bezpłatnie.

Gmach jest parterowy, wszystkie sale mają górne światło. Połowę lokalu wypełniają wystawy bieżące, połowę zbiory własne: staranny wybór rzeźb i obrazów europejskich epok historycznych, rzadkie okazy ceramiki chińskiej najstarszych dynastyj, piękna kolekcja najnowszej sztuki francuskiej — Van Gogh, Ganguin, Césanne, Picasso, Derain. Dumę Galerji stanowi doskonale skompletowany dział malarstwa amerykańskiego.

Jest ono rówieśnikiem polskiego malarstwa.

Gilbert Stuart, Edward Savage, Thomas Sully żyli mniej więcej w tym samym czasie i malowali dość podobnie portrety jak u nas Peszke, Wojniakowski, Bacciarelli.

Klasyków miary Antoniego Brodowskiego, tak uzdolnionych jak Piotr Michałowski romantyków Ameryka nie miała.

Doskonałym pejzażystą szkoły barbizońskiej, plus wpływy Turnera, był George Inness.

Wyrafinowane w kolorze, malowane cienkimi laserunkami obrazy Whistlera mają u nas swój odpowiednik w pracach Władysława Ślewińskiego. Romantyczny realizm Winslow Homera przypomina Witkiewicza, Szymanowskiego, przewyższa ich rozmachem faktury.

John Serent jest to zręczniejszy, elegantszy, bardziej zdawkowy kolega Konrada Krzyżanowskiego. Dobrymi malarzami byli Johnson, Mary Cassatt, Duveneck, Twachtmen.

W oddziałach amerykańskich muzeów spotyka się dużo obrazów malowanych z talentem i smakiem; prac o dramatycznym napięciu Matejki i Wyspiańskiego, intensywności ruchu i wyrazu Chełmońskiego nie widziałem.

W ciągu parumiesięcznego pobytu w Ameryce trudno mi było się zorientować we współczesnym ruchu artystycznym. Na wystawach poziom dość wysoki: dają się zaobserwować te same kierunki artystyczne, jak u nas: wśród starszej generacji plenerzyści i impresjoniści, trochę stylizatorów (Sztuka, Pro arte), na następnej generacji znać wpływy moderny francuskiej, równocześnie z tradycjonalizmem prerafaelicko-klasycznym (Rytm, Formiści). Najmłodszy rozpadają się na dwie specjalne grupy — pokubistycznych abstrakcjonistów i fakturzystów romantyków, znowuż jak u nas (Praesens, Cech św. Łukasza). Spotykałem czasami obrazy o bardziej swoi-



stym, amerykańskim wyrazie. Szorstkie i rzetelne. Z rozmów mogłem wywnioskować, że wpływy sensualistycznej sztuki paryskiej zaczynają ciężyc: budzi się tęsknota do sztuki bardziej męskiej — i bogatszej w treść.

Podobno Polacy stanowią trzecią część całej ludności Buffalo. Mieszkają zwartą masą, we własnych domkach. Mają opinię ludzi pracowitych i spokojnych. Oszczędzają, wykupują place, całe dzielnice do nich należą.

Poradzono mi, aby obejrzeć Niagarę nocą.

Cała droga od Buffalo, jakieś trzydzieści kilometrów, jest to jeden, a właściwie dwa rzędy restauracji, kafeterij, stacyj benzynowych, luksusowych sklepów. Koło wodospadu wyrosło miasto hoteli, Niagara Falls. Nad brzegami Niagary park.

Doszedłem do samego brzegu.

Huk, jak oceanu podczas gwałtownej burzy — za drucianym płotem woda bałwani się i podskakuje. Dalej nic nie widać, czarno. Huk rośnie, tumany piany, woda skacze w przepaść i znika.

Rozczarowany, powędrowałem przez długi most na stronę Kanadyjską, też zabudowaną hotelami. W olbrzymiej sali dancingowej zjadłem obiad, wypilem, pierwszy raz w Ameryce, butelkę prawdziwego piwa.

Kiedy wyszedłem z restauracji, olśniło mnie. Teraz dopiero zaczęło się przedstawienie. Olbrzymie masy spadającej łukiem wody płonęły purpurą, szmaragdem, błękitem, srebrzyły się i złociły w świetle potęż-

nych kolorowych reflektorów, gigantyczne fajerwerki piany mieniły się wszystkimi kolorami tęczy na tle intensywnie czarnego nieba, jeszcze czarniejszych skał. Wszystko w ruchu, ogłuszający akompanjament.

Z brzegu kanadyjskiego, z mostu, brzegu amerykańskiego coraz to nowe patetyczne efekty. Widowisko groźne, nadziemskie, jakby z piekła Dantego, germańskiej Walhalli.

Oświetlenie Niagary zaprojektował elektrotechnik-genjusz.

## X. DETROIT.

W roku 1820 — 1.442 mieszkańców,  
w roku 1870 — 73.577 mieszkańców,  
w roku 1925 — 1.389.400 mieszkańców.

„Detroit ma największą produkcję przemysłową na świecie, wartości 2.500.000.000 dolarów rocznie“.

„W Detroit płace robotnicze są najwyższe na świecie“.

„Detroit ma największe wydawnictwa muzyczne na świecie“.

„Detroit ma największą produkcję środków dezynfekcyjnych na świecie“.

„Detroit ma największy hotel na świecie“ (Book Cadillac).

Kieszonkowa mapka, którą dostałem w hotelu, miała wydrukowaną na odwrocie całą litanję, z refrenem — największy na świecie — najwyższy na świecie.

Detroit położone jest nad przesmykiem (detroit, nazwa francuska), łączącym Wielkie Jeziora z oceanem Atlantyckim rzeką niewiele co szerszą, ale znacznie, znacznie głębszą od Wisły. Podobnie, jak w Buffalo, szerokie, zadrzewione „Avenues“ i „Streets“ przecinają pod prostemi kątami centrum, zabudowane wielopiętrowymi gmachami magazynów, banków i hoteli, w promieniu dziesiątków kilometrów uszeregowane jednopiętrowe domki robotników i inteligencji.

W górze rzeki i nad jeziorami grupują się pałace i parki milionerów. W Ameryce najbogatsi mieszkają najdalej: mają szybsze samochody.

Na głównej ulicy „Woodward Avenue“ z jednej strony ciągnie się długi rząd teatrzyków i variétés, vis à vis rząd świątyń różnych amerykańskich sekt, kwaków, purytanów, baptystów i t. p.

Przed obu rodzajami instytucyj wywieszono programy:

Tu — orkiestra, dancing-girls, program kinowy.

Tam — organy, przemówienie, dyskusja, często także program kinowy.

Gmachy świątyń są wspanialsze („Masonic Temple — największy na świecie“).

Turysta obowiązkowo zwiedza w Rzymie — Colosseum, w Paryżu — Folies Bergères, w Buffalo — Niagarę, w Detroit — Fabryki Forda.

Naprzód jedzie się długo przez dzielnice robotnicze, zabudowane schludnymi pięcio-sześć pokojowymi domkami. Na skrzyżowaniach ulic restauracje, sklepy, hoteliki.



Przed bramami wejściowymi fabryk zarezerwowane olbrzymie place postojowe dla samochodów robotników i gości.

Zwiedzanie odbywa się partjami, po kilkadziesiąt osób, pod kierownictwem specjalnie wydelegowanych urzędników.

W zakładach panuje zadziwiający porządek, podwórza wyasfaltowane, nigdzie strzępu papieru, opałka papierosa.

Dawniejsze budynki nieładne, nowe projektowane z kokieterją estetyczną. Aby nie męczyć oczu robotników, hale wewnętrzne oświetlają niebieskie lampy elektryczne; roboty brudzące wykonywa się w rękawiczkach; dynamomaszyny obsługują dzientelmeni ubrani, jak do tenisa — w miękkich sportowych koszulach, białych zaprasowanych spodniach, białych pantoflach. Odświeżają powietrze i regulują temperaturę silne wentylatory.

Na oko — tempo roboty raczej powolne.

Przez parę godzin prowadzano nas po różnych działach fabrykacji. Dla takiego, jak ja ignoranta, najefektowniejsza była składalnia.

Do pierwszego robotnika podpływa, zawieszona na szynie coś, co wygląda jak czarna szkatuła dziwnego kształtu. Nalewa w to benzyny. Sunie to po szynie dalej. Każdy następny robotnik przykręca jakąś śrubkę, rurkę, lutuje, przyklepuje. Narastają cztery koła, kierownica... Wykończony podwozie zsuwa się z szyny na ziemię, siada na nie szofer, puszcza w ruch

motor i — samochód odjeżdża do innej hali po karo-serję.

Tego samego wieczora trafiłem w kinie na premjerę słynnego u nas w Europie sowieckiego filmu „Potemkin“. Przedstawienie było najwyraźniej zorganizowane w celach propagandowych. Przed wejściem młodzi żydkowie, których Nowy Świat jeszcze nie zdążył odkarmić, nauczyć porządnego mycia się i golenia, sprzedawali ubogie pisemko „New World“ (nowy świat), jedyny spotkany przeze mnie w Ameryce socjalistyczny organ.

Nieliczna publiczność nie umiała zagustować w posępnych rosyjskich nastrojach. Sceny mordowania oficerów przez tłum marynarzy zostały wygwizdane: sympatja Amerykan jest zawsze po stronie jednostki walczącej z tłumem.

Na deser był pokaz sowieckich fabryk, popisów sportowych, ruchu ulicznego w Moskwie — na tle Detroit wyglądało to nad wyraz żałośnie. Nie sądzę, aby ten pokaz kogokolwiek dla bolszewizmu zwerbował. „Ideologia klasowa“, teorje Marksa, wydają się współczesnym Amerykanom takim samym przeżytkiem, jak czterokonny dyliżans, strzelba kapiszonówka.

W Detroit i okolicy mieszka więcej Polaków, niż w niejednym naszym województwie. Jest też dość liczna polska inteligencja: doktorzy, adwokaci, inżynierzy, artyści. Na zebraniach klubu Polskiego bywa po paręset osób, mowy wygłaszane są w doskonałej polszczyźnie. Klub ten urządza odczyty, wystawy, spro-

wadził na tutejszy uniwersytet lektora języka polskiego.

Przybyłem ze „starego kraju“, nie zbierałem składek na żadną partję lub instytucję: przyjmowano mnie nadzwyczaj gościnnie. Zazwyczaj któryś z rodaków swoim samochodem wywoził na śniadanie lub obiad do własnego domu o kilka kilometrów od centrum miasta.

Warszawiacy — pękajcie z zazdrości!

Drogi szerokie, obsadzone drzewami, idealnie gładkie, polane gudronitem; ogród — nieogrodzony płotem (nie potrzeba), elektryczność, kanalizacja, gaz, centralne ogrzewanie; wnętrza ślicznie wykończone, nic nie pęka, nic się nie paczy.

Służących nikt prawie nie trzyma. Dostawcy dostarczają wszystkiego do domu, co pewien czas przyjeżdżają, oczywiście własnymi samochodami, specjaliści od froterowania podłóg, mycia okien.

Głównym jednak pomocnikiem pani domu jest elektryczność, która sama gotuje, robi lód, zmywa naczynia, odkurza. Niagara dostarcza bardzo taniego prądu.

## XI. CHICAGO.

Dla utrzymania w ryzach Indjan z plemienia Pottawattomie, rząd amerykański w roku 1804 wybudował nad brzegiem jeziora Michigan drewniany forcik. Podczas wojny z Anglją w roku 1812 załoga, składająca się z 66 oficerów i żołnierzy, dostała rozkaz odmaszerowania do Detroit. Indjanie skorzystali



z okazji, załogę w drodze napadli i wymordowali, obwarowanie spalili.

W roku 1816 forcik został odbudowany. W roku 1825 rozpoczęto roboty koło przekopania kanału, łączącego Wielkie Jeziora w dorzeczem rzeki Missisipi. Miasto zaczęło się rozwijać w fantastycznym tempie.

W roku 1870 liczyło już 300.000 ludności, ale było całe z drzewa i chaotycznie zabudowane. 8 października 1871 roku krowa przewróciła ogonem lampkę naftową. Wybuchł pożar, całe Chicago spłonęło.

W ciągu trzech lat było już odbudowane z kamienia i cegły, ulice rozszerzone i wyprostowane (krowie należy się pomnik).

Obecnie Chicago liczy koło 4.000.000 mieszkańców, ma ambicję zostania stolicą handlową Ameryki — i reszty świata. Celowo przygotowuje się do tej roli.

Zwiedzałem biura „Chicago Planning Association“. Sztab architektów i inżynierów opracowuje szczegółowe plany regulacyjne wszystkich miejscowości, położonych w promieniu 50 mil angielskich od chicagowskiego ratusza. Zakłada się ogromne parki i pola sportowe, połączone koncentrycznymi pierścieniami bardzo szerokich, zadrzewionych dróg spacerowych dla samochodów. Wypracowane już są wykresy graficzne rozwoju miasta, wpływu, jaki ma cena i czas przejazdu do centrum na zagęszczenie ludności w dzielnicach podmiejskich; na podstawie doświadczeń ustalono szerokość ulic o ruchu lokalnym, łącznic i ulic magistralnych, przypuszczalną ilość i rozmieszczenie

sklepów i przedsiębiorstw. Rozbudowę miasta projektuje się równie starannie, jak armatę albo dynamo.

Na każdym polu czykagowianie chcą zakasować wszystko i wszystkich.

Marmurowy fronton „Field Museum of Natural History“ ciągnie się na trzysta metrów; we wspaniałym hallu, w stylu jońskim, Parthenon razem z innymi budynkami Akropolu mógłby tańczyć kontredansa. Dział antropologiczny zawiera bogate kolekcje wyrobów różnych dzikich i półdzikich narodów, piękne okazy sztuki egipskiej, greckiej, etruskiej, rzymskiej, chińskiej, peruwiańskiej, meksykańskiej i nadzwyczaj ciekawe prace plemion północno-amerykańskich: wysoko stało ich tkactwo, zdobnictwo, plemiona z nadbrzeżów Pacyfiku miały świetnych rzeźbiarzy-eksprejonistów.

W dziale zoologicznym grupy bardzo umiejętnie wypchanych zwierząt, ustawione wśród drzew i traw na tle panoramicznie malowanych pejzaży, dają zadziwiającą złudę rzeczywistości. Finansowane przez Field Museum wyprawy zwożą rzadkie okazy z najzwyklejszych dziur świata.

Między „Art Institute“ w Chicago a „Metropolitan Museum“ w Nowym Jorku odbywa się wyścig.

Bogacze obu tych miast polują w Europie i Azji na wartościowe dzieła sztuki, skupują je i ofiarowują do swoich muzeów.

Metropolitan Museum ma bogatszy dział azjatycki, w dziale europejskim „Art Institute“ wyprzedza o całą długość — współczesnego malarstwa francu-

skiego. Takiej selekcji obrazów Moneta, Renoira, Gauguina, Henri Rousseau, Van Gohge'a, Deraina, Matissa, Picassa, Utrilla, nie posiada żadne francuskie muzeum.

Zeszłego lata sensację wywołała suma, jaką osiągnął na licytacji w Londynie obraz Seurat „Niedziela“. Wisi już w „Art Institute“.

W Nowym Jorku drapacze nieba strzelają, jak wieże wśród pięcio-sześćio piętrowych starszych budowli. Centrum Chicago zabudowane jest również piętnasto-dwudziestopiętrowymi kubami banków, towarzystw ubezpieczeniowych, wielkich magazynów, potem idą dzielnice dwu-trzy piętrowych domów rządowych, naokoło rozlewa się morze domków jednorodzinnych.

Dumą Chicago jest „Michigan Avenue“, bardzo szeroki i długi bulwar nad jeziorem. Cudnie wygląda wieczorem: koło oświetlonych a giorno szklanych ścian luksusowych hoteli i sklepów elegancki tłum; po lśnią-cym asfalcie rozpędzona, połyskliwa rzeka samocho-dów; dalej park, spokojne wody olbrzymiego jeziora.

Chicago ma zupełnie zasłużoną sławę miasta bandytów. Podobno w końcu dziewiętnastego wieku były w Chicago silne organizacje socjalistyczne i anarchi-styczne; miały własne bojówki, wpływ na zarząd mia-sta, na mianowania urzędników i policjantów.

Potem cała ideologia ulotniła się, bojówki prze-tworzyły się w bandy zbójeckie, przemytnicze, ale utrzymały swoje koneksje z policją i radą miejską: wszelkie próby wytępienia ich zawiodą.



Zauważyłem dziwną rzecz: obywatele Chicago są ze swoich bandytów jakgdyby dumni. Cenią ich męstwo, przedsiębiorczość—cnoty typowo amerykańskie. Przytem wnoszą bandyci do spokojnego biznesu kropelkę romantyzmu, dają okazję do postrzelania z rewolweru. Atawizm awanturniczy tkwi jeszcze mocno w czikagowskich kupcach, dyrektorach, bankierach — dziadkowie ich byli traperami, polowali na bizona — i na Indjan (Jeden ze stanów pojezierza płacił za skalp Indjanina 45 centów premji).

## XII. CHICAGOWSCY POLACY.

Podczas ostatniego spisu ludności, z pośród mieszkańców Chicago niespełna jedna czwarta podała jako narodowość „American“. Olbrzymia większość byli to jeszcze niezasymilowani emigranci: Polacy, Niemcy, Rosjanożydzi, Szwedzi, Irlandczycy, Włosi, Czechosłowacy, negrzy, Austrjacy, Anglicy, Kanadyjczycy, Węgrzy (wypisuję w porządku ilościowym). Polaków było 319.644.

Amerykanie stanowią arystokrację, najniższą warstwę — murzyni. Polacy w piramidzie amerykańskiego ustroju powoli, ale stale wygrzebują się na coraz to wyższe stopnie.

Schemat karjery.

Zahukane parobczaki, słowa nie umiejące po angielsku, przez znajomków dostają robotę w jakiejś fabryce, rzeźni.

Za pierwsze zarobione pieniądze kupują sobie eleganckie ubranie (typ „Prince of Wales“ — 14 dol. 50 cent.); zaznajamiają się z użyciem mydła, z kąpielą w wannie.

Sprowadzają ze starego kraju „kobietę z dziećmi“; kupują domek na spłaty... zaczynają się wypłatywać z pajęczyny nędzy, topnieje zamróz proletarjackiej bierności, budzi się wola, przedsiębiorczość.

Oszczędzają, składają pieniądze w banku — zakładają „interes“: pralnię — sklepik — stolarnię.

Dzieci kończą szkołę powszechną, potem „College“, „University“, są już oswojone z amerykańskimi stosunkami, prawie że poprawnie mówią po angielsku.

Business rośnie, pralnia ma sto filij, stolarnia przetwarza się w przedsiębiorstwo budowlane. Mister Ziemia, Mister Ziele osiągają pierwszy milion dolarów — czyli amerykański indygenat.

Zdaniem ludzi kompetentnych, amerykanizacja naszego wychodźstwa jest nieunikniona. Niewielki procent powróci do kraju, reszta wsiąknie w społeczeństwo, wśród którego mieszka i pracuje.

Każdy Amerykanin zachowuje pewną łączność, więź duchową z ojczyzną swoich przodków. Jankes pochodzenia szkockiego choć raz w życiu stara się odwiedzić górską wioskę, z której wyemigrowała, lat temu paręset, jego rodzina. Krew irlandzka ciągnie do Zielonego Erinu, niemiecka do Vaterlandu. Popierają, jak mogą, interesy swoich starych krajów, tam właśnie najchętniej umieszczają kapitały, robią fundacje.

Takie ustosunkowanie do Polski należy i można rozbudzić w naszych emigrantach.

Osobiste ich wspomnienia z kraju są raczej miżerne: jakiś wygon wioskowy, na którym w młodości pasali gęsi, jakiś podmiejski parkan, pod którym grali w guziki.

Trzeba ich poinformować, że mamy wielkie miasto, piękne góry, rzeki, potężne państwo, naukę, przeszłość romantyczną, dynamiczną przyszłość.

Propaganda polskości po różnych kraikach Północy i Środka Europy daje w rezultacie komplimenty + 0. Pieniądze wydane na propagandę w Stanach Zjednoczonych doskonale się oprocentują.

Na własną rękę, bez żadnej pomocy z kraju, nad podtrzymaniem i rozbudzeniem poczucia polskiego pracuje „Polski klub artystyczny w Chicago“.

Założony parę lat temu przez grono inteligencji tutejszej, zorganizował już długi szereg odczytów, koncertów, wystaw, potrafił zainteresować sprawami polskimi społeczeństwo amerykańskie, przygotował teren do większych naszych reprezentacyjnych wystąpień. Robota prowadzona jest z polskim zapałem, amerykańską praktycznością.

Polska dzielnica w Chicago dosyć przypomina nasze prowincjonalne miasta przemysłowe, np. Włocławek.

Domy dwu-trzy piętrowe, szyldy polskie, w kinach: „Tajemnica przystanku tramwajowego“, „Trędownata“. Chłopcy wykrzykują nazwy polskich dzienników. W restauracji polskie menu — barszcz, zrazy,



pieczeń huzarska. Brak tylko Baczewskiego i Habermuscha. Zato dużo więcej samochodów, wszyscy porządnie, solidnie ubrani.

W dzielnicy tej mieszkają emigranci, którzy się jeszcze nie dorobili, i nowi przybysze z kraju. Dorobieni przenoszą się w dzielnice willowe.

Byłem na dorocznym polskim balu dobroczynnym.

W największej sali w Chicago, wprost kolosalnych wymiarów, figlarnie udekorowanej w rokokowe wykrętasy, w pasterskie scenki à la Watteau, zebrało się blisko trzy tysiące naszych rodaków. Nikogo nie brakowało — był i konsul jeneralny i miljonerzy, i redaktorowie pism, i cała inteligencja, i kupcy, i robotnicy, ich żony, córki.

Wszyscy panowie w wytwornych strojach wieczorowych, panie w sukniach balowych według ostatniej paryskiej mody. Kosztowne złotogłowie i jedwabie, piękne klejnoty, doskonale perfumy. Popisywała się solowemi numerami słynna tancerka, Vera Mirowa, żona znanego pianisty, S. Podolskiego z Krakowa. Bardzo liczna i zupełnie dobra orkiestra.

Tańczono tak jak u nas — naprzód modne tańce, potem mazura, oberki, znowu modne tańce.

Żadne z naszych miast prowincjonalnych nie mogłoby się zdobyć na urządzenie takiego balu. Warszawa nie ma sali, któraby mogła pomieścić tysiąc tańczących par.

Mówiono mi, że temu lat kilka na salę tę Polacy przychodzili tylko poto, aby myć podłogi.

### XIII. UNION PACIFIC RAILWAY.

Chicago z Kalifornją łączy cały szereg pośpiesznych pociągów, należących do różnych towarzystw i konkurujących między sobą luksusowością urządzeń, tempem jazdy, pięknie brzmiącymi nazwami.

Wyjechałem expressesem „Gold East“ (złoty zachód). Lokomotywa, ekstra nowego typu, z niziutkim kominem na okrągłym gładkim cielsku, ciągnęła kilka wagonów sypialnych, wagon restauracyjny i ostatnie słowo amerykańskiego komfortu — wagon zawierający czytelnię pism, bibliotekę, stację nadawczą i odbiorczą depeesz radjowych, salon fryzjerski. Dzięki tym urządzeniom podróżujący Amerykanie nie są wytrąceni z trybu normalnych zatrudnień. Dla panów — gra na giełdzie, dla pań — ondulacja, manicure.

Wagony sypialne mniej wygodne, niż nasze, gdyż nie mają podziału na osobne coupé; łóżka, poumieszczane równolegle do ścian wagonu, pooddzielane są tylko kotarami: absolutnie się nie nadają do podróży poślubnych i tym podobnych.

Dla zacofanego mieszkańca starego świata niektóre konieczne zabiegi toaletowe były raczej krępujące w bezpośrednim sąsiedztwie licznych dam. Amerykanie, koedukowani od dziecka, wcale się nie żenowali. Spacerowali po całym wagonie w bardzo ryzykownych dezabilach. Panie również. Całą noc na korytarzu patrolował stary murzyn, uniemożliwiając wszelkie zamachy na cnotę obojga płci, wszelkie za-

kusy przeciw świętemu prawu własności. Rano czyścił ubrania i buciki.

Pociąg sunął równo, szybko, niósł doskonale, postoje były rzadkie i krótkie. Jechaliśmy przez Wielkie Równiny, kraj absolutnie gładki bezleśny, pokratkowany szerokimi szosami w wielką szachownicę pól — zielonych ozimin, żółtych rżysk. Co kilometr, dwa — ferma — drewniany, jasno pomalowany dworek, obok wielka stodoła — obora — garaż, studnia artezyjska, kilka drzew. Co kilkadziesiąt kilometrów większe ugrupowanie takich samych dworków, kościoł, kino, sklepy — miasteczko. Co paręset — wysokie dymiące kominy, kilkupiętrowe murowane banki, magazyny, hotele, naokoło szeroki pierścień dworków drewnianych — miasto fabryczne.

Była niedziela, słońce. Na pozamiejskich drogach nie zauważyłem ani jednego pieszego, ani jednego konia. Przy święcie konie pasły się na ogrodzonych łąkach. Do kościoła, z kościoła, do kina, z kina fermerzy wozili swoje rodziny samochodami. Na wszystkie strony snuły się całe sznureczki fordów.

Publiczność, zebrana na stacjach, spacerująca po ulicach miasteczkach — dużo zamożniej ubrana, niż nasza niedzielna elita w Alejach Ujazdowskich. Białe kołnierzyki, Stetsony, zaprasowane spodnie, jedwabne suknie i pończochy, futra.

Na prerjach, krwawych polach tyłu walk czerwonoskórych z białymi, niepodzielnie obecnie panuje — Dobrobyt.

Przespałem drugą noc w wagonie. Rankiem, za-



miast wesołej zielono-złotej taśmy bogatych folwarków ujrzałem usypiska czarnych skał, pod cienką powłoką śniegu, dalej, we mgle, górskie łańcuchy. Posępna pustka, ani krzaczka, nagie skały, kamienie. Tu właśnie zostali wypchnięci pokonani z prerji: „Indian Reservation“. Dostają od rządu St. Zjednoczonych rację mąki, słoniny, drwa, kołdry. Jest ich bardzo niewiele. Wymierają. Unikają jak mogą zetknięcia z białymi.

Przejechałem Amerykę wpoprzek, nie zdarzyło mi się spotkać ani jednego Indjanina.

Po kilku godzinach pejzaż się trochę ożywił. Pojawiły się studnie naftowe, w dolinach rzek drzewa i ludzkie osiedla. Góry ścisnęły tor z obu stron, spiętrzyły się jakby w ruiny olbrzymich zamczysk, murów cyklopicznych.

Poprzez Djabelską Przełęcz wjechaliśmy na równinę doskonale uprawną, użyźnioną kanałami, zasadzoną rzędem drzew owocowych, gęsto usianą parterowymi dworkami; ukazała się olbrzymia tafla wody — martwa, matowa, bez ruchu; saliny, fabryki; wielki dworzec z napisem „Salt Lake City“.

#### XIV. MORMONI.

Józefowi Smithowi, jednemu z siedmiu synów ubogiego fermera z hrabstwa Windsor, stanu New York, dn. 28 Września 1827 roku ukazał się w glorii „posłaniec boży“, Moroni, polecił wykopać na pobliskim wzgórzu, Cumorat, złote tabliczki, pokryte nie-

znanem pismem, a także Urim i Thumim — dwa drogocenne kamienie, umieszczone w srebrnej szkatułce, przytwierdzonej do złotego napierśnika.

Anioł Moroni uwiadomił Smitha, że Mormon, ostatni prorok szczepu izraelskiego Nephitów, przybyłego do Ameryki w VI wieku przed Narodzeniem Chrystusa, zapisał na tych tabliczkach Wolę Bożą; Józef Smith jest przez Boga wybrany, aby przetłumaczył je na język angielski, i aby „powrócił ludziom na ziemi władzę i królestwo Boże“.

Moroni zagroził Smithowi najśroźszymi karami, jeżeli bez specjalnego zezwolenia Boga komukolwiek te tabliczki pokaże, lub jeżeli „sprzeda je w celach zysku“.

Po powrocie do domu, Józef Smith zabrał się do kopjowania znaków na złotych tabliczkach; z pomocą kamieni Urim i Thumim odczytywał je i tłumaczył. Jeden z jego przyjaciół, H. Harris, pokazał kopję i tłumaczenie Ch. Antonowi, profesorowi Columbia College w Nowym Jorku. Profesor stwierdził jakoby, że teksty są napisane literami „egipskimi, chaldejskimi, assyryjskimi i arabskimi“ i że tłumaczenie jest bardzo wierne. Piśmiennego zaświadczenia nie chciał jednak wystawić.

Przy współpracy nauczyciela ludowego, Olivera Cowdery, Józef Smith dokończył tłumaczenia i dał je do druku. „Księga Mormona“ ukazała się wiosną 1830 roku. Anioł Moroni zabrał z powrotem złote tabliczki, Urim i Thumim. Kopja została ukradziona i również przepadła bez śladu.

W posłannictwo prorocze Smitha uwierzyła pewna ilość sąsiadów. Został zorganizowany kościół pod nazwą „Świętych ostatniego dnia“. Józef Smith i Oliver Cowdery wyświęcili się nawzajem na wielkich kapłanów „według zakonu Aarona“, wkrótce potem pojawili się w glorii św. Piotr, Jan i Józef, pomazali ich na kapłanów „według zakonu Melchizedecha“. Pośród najgorliwszych wyznawców obaj wielcy kapłani wybrali dwunastu apostołów. Zaczęli prowadzić propagandę mormonizmu, zyskiwali prozelitów, natrafili jednak na bardzo ostry opór ze strony duchowieństwa i większości fermerów. Doszło do bójek, podpaleń, zabójstw.

Zewsząd wypierani, mormoni posuwali się coraz dalej na Zachód. Nad brzegami Missisipi założyli miasto Naavoo. Józef Smith miał objawienie, że w tych właśnie stronach żył Adam. Postanowił wybudować tu wielką świątynię, „utwierdzić Nowy Syjon“. Mormoni zaczęli ściągać z innych stanów, nawet z Anglii. Miasto szybko się rozwijało, liczyło wkrótce 20.000 mieszkańców.

Znowuż zaczęły się tarcia z okolicznymi fermerami. Podczas jednego z takich zajść Józef Smith został zastrzelony. Na jego miejsce zgromadzenie mormonów wybrało Brigham Younga, człowieka wielkiej energji i doskonałego organizatora. Zorientował się, że mormani w Navaoo, otoczeni zewsząd zacieklą niechęcią współziomków, skazani są na zagładę. Postanowił wyprowadzić ich z ziemi ucisku na daleki za-



chód, w Góry Skaliste, zupełnie wówczas niezaludnione.

Oddział wywiadowców wyruszył z nad brzegów Missisipi dn. 7 kwietnia 1847 roku. 24 lipca przybyli nad brzegi Słonego Jeziora. Miejsce to spodobało im się. Wyznaczyli plac pod budowę świątyni, zaczęli siał zboże, sadzić kartofle, budować chaty (Streszczam podług książki E. H. Andersona „Krótka historia kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Ostatniego Dnia“).

\* \* \*

Stolicę Świętych Ostatniego Dnia zastałem w godowej, nieskazitelnie białej szacie.

Padął gęsty, mokry śnieg. Pierzyna śniegowa pokrywała szerokie, proste aleje, obsadzone włoskimi topolami. Śnieg oblepiał gzymсы i dachy „Temple“, ogromnego budynku z granitu, ni to kościoła, ni to zamczyska, dziwacznej, assyryjsko-romańskiej architektury, z trzema wieżami z przodu, z trzema wieżami z tyłu. Drzewa parku naokoło ubrały się w okiść, w szadź. Wśród całej tej bieli świeciła gorąca złota plamka — anioł Moroni, umieszczony na najwyższej z wież.

W „Bureau of Information“, obok świątyni, zastałem delegowanego tego dnia do oprowadzania turystów p. Andersona, mormońskiego hajjografa, wyżej cytowanego.

Bardzo mnie serdecznie powitał, znał Europę, był na uniwersytecie w Berlinie, spotykał Polaków.

Pokazał mi mormońskie muzeum, zawierające trochę wykopalisk z indyjskich cmentarzysk, piękne indyjskie kilimy i pamiątki po mormońskich przywódcach. Zaprowadził do niskiego pękatego budynku, miejsca mormońskich zebrań i koncertów, „tabernaculum“, z największemi na świecie organami (każde miasto amerykańskie ma największe na świecie organy). Obeszliśmy naokoło świątynię, do środka nie chciał wprowadzić: wstęp mają tylko mormoni. Zato postanowił zaprezentować gościa z Dalekiego Wschodu (niby mnie) samemu prezydentowi-prorokowi.

Znajdował się on właśnie w Zarządzie Głównym mormońskiej gminy, kosztownym gmachu z granitu, z marmurowemi kolumnami, kapitelami z brązu. Poczekaliśmy trochę w hallu, zupełnie pustym, bez mebli. Ściany, podłoga, sufit, wyłożone były płytami lśniącego alabastru. Wreszcie otworzyły się podwoje.

Obszerny pokój zaścielał miękki perski dywan. Na buazerji ścian parę dużych obrazów w ciężkich złotych ramach. Ogromne biurko, głębokie skórzane fotele. Koło biurka trzech siwych panów, najwyższe władze mormońskie w komplecie: sam prezydent-prorok H. J. Grant, wysoki, ze strzyżoną brodą, w złotych okularach, ubrany w doskonale skrojony żakiet. Oczy bystre, twarz energiczna urodzonego przywódcy. Apostołowie-asystenci, A. W. Ivias i Ch. W. Nibley, mniej postawni i mniej pewni siebie.

Prorok przyjął mnie łaskawie, wypytywał o postępy mormonizmu w Polsce — żadnych mu informacji nie umiałem udzielić; wywnioskowałem z rozmo-

wy, że wśród katolików propaganda idzie kiepsko. Dostałem parę wydawnictw, zaproszenie na koncert religijny. Audjencja była skończona.

W Salt Lake City sklepy, hotele, restauracje, stroje przechodniów, wszystko świadczy o powszechnej zamożności, większej jeszcze chyba niż w innych amerykańskich miastach. Dużo pięknych kobiet, pełno zdrowych dzieciaków; mężczyźni dorodni. Prawie wszyscy niebieskoocy, blondyni, o wyraźnym angielskim typie.

Dominuje na wzgórzu marmurowy, otoczony koryncką kolumnadą, z kopułą pośrodku „Capitol“ — parlament stanu Utah. Z tarasów Capitolu widać całe mormońskie państwo: regularnie zabudowane miasto, rozległa uprawna dolina, Słone Jezioro, naokoło łańcuchy Gór Skalistych.

Wypogodziło się. Słońce właśnie zaszło. Na niebiesko-liljowych śniegach zapłonęły niezliczone iskierki lamp elektrycznych, sunęły czarne wstążeczki pociągów, roły się samochody. Dymy były prosto w niebo.

Zadziwiające zdarzenie — mormonizm.

Szaleniec? Wizjoner? wygłasza oczywiście brednie. Zyskuje zapalonych zwolenników. Sam ginie, uczniowie jego wytrzymują wszelkie prześladowania. Dla zachowania swojej wiary, wędrują tysiące wiorst, zwalczają tysiące przeszkód. Dziką pustynię przemieniają w urodzajną, bogatą „ziemię obiecaną“.



## XV. PRZEZ ŚNIEŻNE GÓRY, DOLINĘ ŚMIERCI.

Polski rekord. 1300 kilometrów, w 28 godzin, autobusem. (Któryż z lechitów ma podobny wyczyn?).

Między miastami Stanów Zjednoczonych od paru lat istnieją połączenia autobusowe, konkurujące skutecznie z pociągami.

Przejazd z Salt Lake City do Los Angeles ekspresem trwa 25 godzin, kosztuje około 30 dolarów; „Pickwick Motor Coach“ przewozi w ciągu 28 godzin za 15 dolarów.

W autobusie miejsc było 24, prawie wszystkie zajęte przez kompanje robotników budowlanych, jadących na robotę do Kalifornji. Kobieta tylko jedna, żona policjanta z Utah, zajmowała honorowe miejsce na froncie, przy szoferze.

Wygodne trzcinowe foteliki za naciśnięciem pedału odchylały się w tył tak, że można było spać półleżąc. Walizki umieszczono na dachu, pod pokrowcem.

Wyjechaliśmy punktualnie o 8 wieczór.

Długo ciągnęły się przedmieścia Salt Lake City, fermy wśród sadów, mormońskie, bogate osiedla. Szeroka, doskonale utrzymana szośa oświetlona lampami łukowemi.

Potem wjeżdżamy w góry, coraz to więcej śniegu, osiedla rzadsze. „Królowa Pustyni“ (tak się nazywał nasz autobus), miała widać bardzo potężny motor, gdyż brała skłony w tempie 70 — 80 kilometrów na godzinę.

Koło północy zatrzymujemy się w jakiejś górskiej wiosce na postój. Wszystko śpi. Światła w domach pogaszone, kafeteria zamknięta. Kilka stopni mrozu.

Szofer zaprowadził nas do poczekalni „Pickwick Stage“. Na kominku palił się ogień, w toalecie przygotowana gorąca, zimna woda, mydło, ręczniki; umeblowanie stanowiły głębokie skórzane fotele. Na ścianach wisiało parę oleodruków, między innymi „Wilk“ Wierusza Kowalskiego. Aż tu zawędrował.

Trochę rozgrzani, po kwadransie ruszamy dalej, przez górskie zasypane śniegiem wąwozy. Noc była bezksiężycowa, niewiele co widać, więc zadrzemałem.

O świcie znowuż postój, w „Cedar City“.

„Królowa Pustyni“ dostała benzyny, oliwy, my, podróżni, śniadanie. W malutkiem miasteczku, zagubionem wśród gór, menu było takie same, jak w Nowym Jorku, w Chicago: jajka z szynką lub boczkiem, bliny z syropem, kompoty i owoce, dobra herbata. Lokal restauracyjny utrzymany bardzo czysto, w toalecie gorąca i zimna woda, mydło, czyste ręczniki.

Moi towarzysze podróży, robotnicy, siedli do breakfastu starannie pomyci, poczesani, ubolewali, że nie mogą się ogolić, bo fryzjer jeszcze zamknięty.

Za „Cedar City“ zjechaliśmy z głównej szosy na bocznice, wąską dróżką na dnie kanionów. We wściekłych wirażach autobus ocierał się o ceglaste strome ściany, formacji tortowej. Słońce weszło, zapaliło gamę najgorętszych barw. Ostro sterczały na seledynowym tle nieba pomarańczowe, miedziane, koralowe, rubinowe złomy gór, obciosane przez lody i wody na

sztorc. Śniegu już tu nie było, roślinność mizerna, trochę sosenek. Nad brzegiem nielicznych strumieni ludzkie osiedla, widocznie bardzo niedawne, gdyż składające się z paru namiotów i forda.

Mijamy wielką tablicę z napisem „Stan Nevada pozdrawia Was“,—i wjeżdżamy na doszczętnie spaloną przez słońce pustynię.

Na czerwonej ziemi gdzie niegdzie rosną kępki suchej żółtej trawy, kolących bezlistnych krzaków, szare kaktusy. Z prawej i lewej strony łańcuchy nagich gór, rudych w świetle, fioletowych w cieniu. Niebo błękitne, powietrze zadziwiająco przejrzyste. Gorąco.

Z jakiegoś zakątka pamięci wyskakują „Sokole Oko“, „Żelazna Ręka“, „Długa Strzelba“, bohaterowie indyjskich powieści dla młodzieży. Na tem oto wzgórz ustatywały się w czworobok kryte płótnem wozy poszukiwaczy złota. Wśród tamtych traw podpełzali czerwoni wojownicy. Okrzyk wojenny, salwy z gwintówek. W stronę gór uciekają niedobitki białych, pod tomahawkami tracą skalpy i życie.

Tak było dawniej. Obecnie Indjanie wytępieni. Karawany wozów zastąpił autobus Pickwicka.

Szerokim traktem, wśród rozpalonych piachów, pędzimy godzinę, dwie, trzy. Oprócz paru stacyj benzynowych (domek z deseczek, kryty blachą, blaszany składzik, czerwona pompa), porzuconych wzdłuż drogi opon, kół, szkieletów samochodów, nie widać śladu ludzkiej istoty, plamki zielonego koloru.



Wreszcie koło południa ukazuje się grupka drzew i zabudowań, poprzedzona wielkimi afiszami:

„Las Vegas — oaza pustyni — place na sprzedaż“.

W styczniu roku 1928 Las Vegas składało się z dwóch hotelików, kilkunastu domków, szkoły, kaplicy. Deszcz tu nigdy nie pada, ale ziemia podobno jest doskonała. Jest już rozpoczęta budowa tamy na rzece Colorado, roboty irygacyjne. W związku z tem kwitnie spekulacja terenami. Za lat parę pokryją pustynię sady pomarańczowe, plantacje ananasów i trzciny cukrowej.

Postój w Las Vegas trwał godzinę: mieliśmy czas zjeść lunch, rozprostować nogi.

„Królowa Pustyni“ zmęczyła się, z wrodzoną uprzejmością zastąpił ją „Król Pustyni“ — pomimo odmiennej płci zupełnie identyczny autobus.

Z cienia oazy wytoczyliśmy się znowuż na rozpaloną patelnię pustyni.

Czerwony kurz, czerwony piasek, żółte badyle, rude góry. Oczy bołą. Mijamy kilka zakurzonych, rozpedzonych samochodów, wspinamy się wgórę, wjeżdżamy na rozległe płaskowzgórze, porośłe dziwaczniemi kaktusami wzrostu naszych grusz. Zapada noc. Jak okrętom na morzu, wskazują nam drogę sygnały świetlne latarni, poumieszczanych na wzgórzach.

Nareszcie zaczęły się pojawiać naprzód pojedyncze fermy, potem grupki domków, miasteczka o hiszpańskich nazwach. Zjedliśmy obiad w San Bernardino. Menu i urządzenie kafeterji było ściśle w jan-

keskim stylu. Znowu dalej. Ostreimi wirażami staczamy się z gór w doliny. Drapiemy się z dolin na szczyty.

Towarzysze podróży wskazują lunę na niebie — „Los Angeles“. Za godzinę dojedziemy. Właśnie tę ostatnią godzinę przespałem. Obudziłem się w wielkim jasnym garażu. Była punkt dwunasta. Tragarz-murzyn władował na plecy moją walizkę i zaprowadził do „New Roslyn Hotel“.

Za trzy dolary dziennie dostałem piękny pokój z łazienką, obmyłem w kąpeli pył pustyni śmierci — i do łóżka. Wygodniej spać w łóżku, niż w trzciniowym, podskakującym foteliku.

## XVI. LOS ANGELES. HOLLYWOOD.

Statystyka stwierdza długowieczność mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Tymczasem w mojej dotychczasowej podróży spotykałem bardzo mało starych ludzi. W Los Angeles zato jest ich pełno: starcem był portjer w hotelu; hall, restauracja, pełne dziadusiów i babuś; siwi fryzjerzy golili, strzygli, siwy murzyn pucował buty; na ulicy co drugi przechodzień—siwy. — Nawet w Variété występowali, w odpowiednio napisanych sztuczkach, siedemdziesięcioletni aktorzy i aktorki (girls były znacznie młodsze). Słyszałem, że podobnie dzieje się na Florydzie: starzy Amerykanie emigrują do słońca.

Samo Los Angeles jest jak wyjęte z pudełka — nowiutkie. Z przedmieściami ma dwa i pół miliona

W sto pięćdziesiąt dni.

ludności. Temu lat pięćdziesiąt w całym hrabstwie mieszkało ledwo kilka tysięcy, przeważnie hiszpańsko-indyjskich metysów.

Centrum różni się od innych wielkich miast amerykańskich południową roślinnością parków i skwerów i bardziej nowoczesnym stylem budynków. Co tylko wykończone: olbrzymi ratusz, biblioteka publiczna, amfiteatr, zaprojektowane zostały przez architektów sesesyjnie kubizujących. Całe grupy willi pobudowali uczniowie Le Corbusier, Mallet Stevensa, Ouda (może zresztą oni sami przysłali plany). Modernizm nikogo tu nie razi, doskonale pasuje do kalifornijskiego regionalizmu — meksykańskiego baroczku.

Muzeum Sztuk Pięknych jest w rozbudowie — ma zakasować Nowojorskie i Chicagowskie. Zbiory tymczasem jeszcze niezbyt bogate. Najpiękniejszy dział chiński i współczesnej sztuki francuskiej — aż do kubistów włącznie.

W dziale historycznym: „Powóz Pierwszego Gubernatora“. Takiemi samemi dotąd jeżdżą dziedzice na szosie Rypin — Sierpc — Mława. „Broń zdobywców Kalifornji“ — taką właśnie walczyli powstańcy 63 roku.

Bardzo interesujące Muzeum Krajoznawcze. W modelach gipsowych i malowanych panoramach pokazane są wszystkie bogactwa Kalifornji: kopalnie złota, szyby naftowe, pola zbożowe, winnice, sady, laski palm daktylowych, na łąkach i halach hodowle koni, bydła, świń, szczyty porośnięte sosnami gigantami...



Wszystko bestje mają: klimat sycylijski, glebę podolską, podgłebie — najbogatsze na świecie.

Los Angeles leży na płaskowzgórzu, obramionem z trzech stron skalistymi górami; od wschodu wygiętym łukiem wrzyna się w ład Ocean Spokojny. Otoczone jest szerokim wieńcem dzielnic rezydencyjnych, cudownie utrzymanych. W palmowych alejach, na szmaragdowych, codzień polewanych trawnikach rozsypane są niewielkie, jasno pomalowane pałacyki. Mnóstwo kwiatów. Na rogach ulic kina i stragany z owocami: piramidki złotych ananasów i melonów, ponsowych jabłek, pomarańcz, wielkich florydzkich cytryn, girlandy bananów, jakichś kolowych strąków. Kościoły najdziwaczniejszych sekt, np. „Spiritual Fistic Science Church“, czyli po polsku „Duchowy Kościół Fizycznej Nauki“. Szpitale dla zwierząt: „Dogs Sanatorium“, „Cats Sanatorium“. Królestwo emerytów, rentjerów, starych panien. Okoliczne wzgórza udekorowane romantycznymi zameczkami gwiazd filmowych.

Na lunch pojechałem do Hollywood. Tramwajem trzy kwadransy.

Prosty, szeroki bulwar, luksusowe sklepy z galanterją, wielkie kina, hotele, restauracje. W „Pigs Whistle“ (Gwizd Prosięcia), główna sala ma rozmiary bazyliki, ściany gołe, bogato rzeźbiony barokowy sufit. Podają potrawy kelnerki cudnej urody — gwiazdy, które jeszcze nie wzeszły, już zasły, nigdy nie wzejdą. Publiczność — znajomi z ekranu: słodkie blondynki, kobiety demony, białe pawice, szlachetne

zbrodniarki... ich męskie odpowiedniki. Niestety, nazwisk bohaterów filmowych nigdy nie mogłem zapamiętać.

Naokoło „Hollywood-Bulward“ grupują się pałace i parki gwiazd pierwszej wielkości. Pola Negri mieszka trochę dalej, na Beverly Hills.

Obiadowałem w meksykańskiej restauracji. Lekki przewiewny pawilon dekorowały azteckie, krwiożercze bóstwa. Węgierski\*gulasz, serbska sałata z papryki — są to delikatne przysmaczki w porównaniu ze wściekle paląciami potrawami meksykańskiego menu. Płomiennooka, purpurousta, granatowłosa, bosa meksykańska, o burtsztynowych, wzniosłych kształtach, opiętych w białą, jedwabną koszulę, ponsową spódnicę, sama nakładała potrawy, gorąco zachwalała.

Wszystko zjadłem. Wypiłem 6 butelek wody sodowej z lodem.

Wieczór spędziłem w „Chińskim Pałacu“, najelegantszem kino-variété Hollywood. Układ programu jak zwykle w Ameryce: orkiestra, dancing girls, popis akrobatów i wirtuozów, organy, film; kasjerki, portjerki — cudnej urody. Do Hollywood zjechały się piękne dziewczyny z całego świata — kilkadziesiąt gra w filmach, paręset statystuje — reszta usługuje po restauracjach, zamiata kinoteatry.

Prześliczna jest dzielnica Los Angeles, położona nad Oceanem.

W wodę wybiegają trzy wielkie pomosty z restauracjami, dancingami, strzelnicami, wszelkimi in-

nemi zabawami Luna Parków. Nad kilkunastowiorstową piaszczystą plażą ciągnie się rząd klubów sportowych, hoteli, willi.

Dalej, jak nożem ociosana wysoka skalista ściana, rozległy park, pełen podzwrotnikowych kwiatów i drzew. Z parku widok na fantastyczne ugrupowania czerwonych dachów, żółty szlak plaży, popstrzony kostjumami i parasolami kąpiących się (w styczniu); horyzont cały wypełnia łagodny błękit największego z oceanów, Oceanu Spokojnego.

## XVII. HONOLULU.

Podróż z Los Angeles do Honolulu, na długim, białym, wytwornym statku spacerowym „City of Los Angeles“, trwała sześć dni. Towarzystwo było czysto amerykańskie: turyści, młode małżeństwa, grupa kupców z Zachodnich Stanów, delegatów Izb Handlowych na zjazd w Honolulu.

Zmęczony forsownem zwiedzaniem Ameryki, z rozkoszą wylegiwałem się na pokładzie w wygodnym leżaku, czytałem i — obserwowałem amerykańskie romanse. Pogoda była śliczna, ocean spokojny; z dniem każdym nabierał bardziej głębokiego, granatowego tonu, słońce mocniej paliło, nocami księżyc i gwiazdy rozmarzały zielonawem, łącie operowem światłem; pareczki poukrywane w zaułkach pokładu; mandoliny i banio załogi aż do świtu brzęczały amerykańskimi i hawajskimi melodjami; zbliżyliśmy się do tropików.



Siódmego dnia o świcie z różowawej mgły wyrosły zaokrąglone stożki wygasłych wulkanów wyspy Oahu, niewyraźne profile innych wysp archipelagu Hawajskiego. Statek płynął wzdłuż raf koralowych, potem wzdłuż plaży. Wśród ciemnozielonych palm różowiły się i żółciły budynki różnego kalibru. Potem fort, latarnia morska, obszerny port, długi szereg białych doków, ozdobionych wysoką wieżą zegarową w najczystszej secesyjnym stylu. Czekoladowe kędzierzawe chłopaki nurkują koło statku, wyławiają rzucane z pokładu srebrniki.

Wita nas dźwiękami hymnu amerykańskiego czekoladowa (milka) orkiestra dęta. Delegacja kupiectwa hawajskiego (biali) przyjmuje uroczyste delegację Izb Handlowych St. Zj., wiesza na sztykach posiwiałych grosistów i drogistów girlandy kwiatów. W zamieszczeniu mnie również obdarowano girlandą. Zrobiona była z wielkich, mięsistych kielichów, żółtych, pomarańczowych i czerwonych, nanizanych na sznurek.

W hawajskiej symbolice ofiarowanie takiej girlandy oznacza „aloha“ czyli „przyjazne pozdrowienie“.

Słońce przysłonił lekki cień; popadał drobny ciepły deszczyk, codzienny poranny prysznic. Znowuż się wypogodziło. Powietrze wilgotne, pachnące.

Zamieszkałem w hotelu „Blaisdale“, w środku miasta. Pokój z łazienką — trzy dolary. Meble lekkie, bambusowe, muślinowe zasłony od moskitów. Cała obsługa japońska. W niebiesko-białej sali resta-

uracyjnej (obiad — dolara) usługiwały śliczne, niebiesko-białe poubierane japoneczki.

Kilka centralnych ulic Honolulu zajmują solidne granitowe gmachy urzędów i banków, luksusowe magazyny, całe ze szkła i bronzu.

Dalej rajski park. Kolumnady palm kokosowych, kwitnące drzewa i zarośla, gazony, klomby. Wzdłuż szerokich asfaltowych alei, obsadzonych olbrzymiemi, rozłożystemi drzewami, prawie niewidoczne wśród profuzji kwitnących krzewów, małe domki z deseczek, otoczone werandami, otwarte na przestrzał.

Ludność nadzwyczaj mieszana. Wysocy, jaśni arjowie, drobniejsi, koloru rozwodnionej kawy, filipińscy i portugalscy metysi, herbaciani Chińczycy i Japończycy, czekoladowi, krępi Hawajczycy, krzyżówki tych wszystkich ras.

Panowie ubrani w białe koszule, białe spodnie z paskiem, boso i bez kapelusza; panie w jaskrawych kimonach i sukienkach; dzieci pół-nago.

Spędziłem w Honolulu tydzień.

Rano, po śniadaniu z ćwiartki ananasa, grzanek, herbaty, jechałem na plażę. Ławica piasku aż po linję raf koralowych zanurzała się w wodę łagodnym spadkiem. Dalej było odrazu głęboko.

Na plażę schodziły tarasy najluksusowszego i najdroższego hotelu, jaki zdarzyło mi się gdziekolwiek kiedykolwiek widzieć. Pojedynczy pokój — od 14 dolarów dziennie, bez utrzymania. „Royal Hawaiian“ różowe gmaszysko, pobudowane w figlarnym, secesjonizowanym baroku. Olbrzymie hale, sale ja-

dalne, salony, wykładane pstrokatemi tafelkami terakoty, zastawione fontannami, kwiatami, poobwie- szane złotymi klatkami śpiewających ptaszków.

Obok kilka innych, trochę mniej luksusowych hoteli i pensjonatów.

Wśród kąpiących się dużo pięknych kobiet—gwiazdy z Hollywood na urlopie, legalne i nielegalne żony milionerów. Zgrabni młodzieńcy-sportowcy, hochsztaplerzy. Ratują tonących, uczą pływać, jak ze spi- żu odlani hawajczycy-kąpielowi. Reszta, sami biali. Dla kolorowych jest osobna plaża.

Lunch — smacznie przyrządzone ryby i znowuż ananasy zjadłem w restauracyjce japońskiej, zbudowa- nej na palach, w oceanie.

Godziny upalne, między 12 a 2 (sjesta) siedzia- łem tak, jak wszyscy, w domu, czytałem honolułskie gazety, doskonale redagowane, 12 — 16 arkuszy dru- ku. Odwiedził mnie reporter „Honolulu Star“. Zrobił wywiad z przybyszem z antypodów: „Jak mi się po- doba Honolulu“; „Co myślę o stosunkach polsko-ame- rykańskich“; „O polityce europejskiej“; „O zatargu polsko-litewskim“. Został poinformowany nadzwyc- zaj kompetentnie i optymistycznie.

Popołudniu zwiedzałem:

Muzeum hawajskie. Przed przybyciem białych (1778 rok) hawajczycy nie znali użycia metali ani tkactwa. W ciągłych wojnach wytlukiwali się dre- wnianymi pałkami, kamiennymi młotami — tak jak w Polsce za Lecha I.



Pospólstwo obojga plemi w dnie galowe ozdabiała swoje kształty girlandami kwiatów (patrz wyżej); arystokracja opasywała biodra kawałkiem cienkiej, wygarbowanej kory palmowej, z wyciskany stemplem naiwnym ornamentem. Królowie wdziewali wspaniałe helmy i płaszcze, zrobione z ptasich czerwonych i żółtych piórek. Na codzień — wszyscy goło. Jadali owoce, korzonki, ryby. Mieszkali w szałasach z liści, z trzciny.

„Art Academy“ duży parterowy budynek. Wewnątrz trzy podwórza. Największe, środkowe, służy jako sala zebrań, sala koncertowa; na prawo klasyczne atrium-potio, w podwórku na lewo urządzone śliczny chiński miniaturowy ogródek. W podcieniach podwórzy i w przestronnych jasnych salach umiejętnie ugrupowane okazy sztuki europejskiej i azjatyckiej. Między innymi rzeźba Antonia Rosselina, piękny gobelin brukselski datowany 1540, obrazy francuskich impresjonistów, pierwszorzędne kolekcje chińskiej, japońskiej i malajskiej broni. W czytelni wydawnictwa i miesięczniki artystyczne angielskie, francuskie, włoskie, niemieckie, japońskie.

Honolulu ma także Bibliotekę Publiczną — gmach w stylu klasycznym, z posągami Nike Samotrackiej przed wejściem. Uniwersytet, liczne szkoły, kościoły wszystkich wyznań, nawet mormoński. Bez liku placów sportowych, golfów, tenisów.

Robiłem również wycieczki po okolicy. Wdrapałem się na górę Puuswaena, byłem w zatoce Waikiki,

w parku Aala. Najbardziej utkwiała mi w pamięci wycieczka w dolinę Kamañaki. Zamieszkiwali ją japoñscy emigranci. Koło przewiewnych domeczków-altanek uwijali się niebiesko poubierani ludkowie koloru żółtej ochry, bawiły się roje malutkich, bardzo grzecznych, bardzo czystych dzieciaczków. Z obydwu stron drogi z pośród płytkich rozlewisk sterczały zielone rządki młodego ryżu. Wyżej dojrzewały pola ananasów, wśród dwumetrowych szerokich liści paczki wielkich strąków — banany, jeszcze wyżej ciemnozielone gaje przetykały płomienne kulki pomarańcz. Dalej prowadziła górska ścieżka wśród zupełnie mi nieznanym, intensywnie pachnącym, kwitnącym drzew i krzaków. Wreszcie gołe skały szczytu, widok na Honolulu, na sąsiednie wyspy, na Ocean.

Był początek lutego, najzimniejszy miesiąc, termometr wskazywał od 20 stopni Celsjusza rankiem, do 30 w południe; w najgorętszym miesiącu, lipcu, temperatura jest o 5 do 10 stopni wyższa. Deszcze krótkie, ale częste.

Wyspy Hawajskie liczą 333 tysiące mieszkańców, w tem białych dziesięć procent.

Biali — Amerykanie i Anglicy — rządzą, są dyrektorami fabryk, banków, wielkimi właścicielami ziemskimi, wyższymi urzędnikami, żołnierzami.

Żółci — Chińczycy i Japoñczycy — handlują, są fermerami, rzemieślnikami, buchalterami, subjektami, kelnerami.

Czekoladowi i kawowi — Hawajczycy i Filipiñczycy, pachołkują po fermach, zamiatają ulice, no-

szą ciężary i t. d. Zarabiają dobrze. Nie noszą butów, kapeluszy, marynarek — prawie każda kolorowa rodzina jedzie w niedzielę na spacer własnym samochodem.

Na Wyspach Hawajskich jest 35 tysięcy samochodów — więcej niż w całej Polsce. Rocznie Wyspy eksportują za przeszło 300 milionów złotych ananasów, za 500 milionów zł. cukru trzcinowego.

Stany Zjednoczone anektowały Wyspy Hawajskie w roku 1898, trzydzieści lat temu.

### XVIII. DOLLAR STEAMSHIP LINE.

Po wschodnich oceanach i naokoło świata krąży siedemnaście solidnych, pakownych statków, pomalowanych na ciemno-zielony kolor „gendarme“; na środkowej części pokładu piętrzy się kilka kondygnacyj białych, pudełkopodobnych nadbudówek; na wielkim czarno-żółtym kominie magiczny znak \$. Klasy tylko dwie: w zielonym kadłubie trzecia — wyłącznie dla kolorowych — białym biletów nie sprzedają; w białych nadbudówkach — pierwsza klasa, dla białych; zaopatrzeni w dolary żółci i jasnobronzowi są w niej tolerowani. Czarni i ciemno-bronzowi — do trzeciej.

Wszystkie statki Dollar-Line ochrzczone są nazwiskami prezydentów „Matki demokracji“.

„S. S. President MacKinley“ za trzysta dolarów, w ciągu trzech tygodni, przewiózł mnie wpoprzek Oceanu Spokojnego, wzdłuż brzegów Japonji i Chin,



z postojami w Jokohamie, Kobe, Szanghaju, do Hongkongu.

Prawdziwa wielkość idzie w parze z dobrocią. Największy z Oceanów zrzadka ma tylko ataki gniewu, cyklony, zazwyczaj jest bardzo łaskawy — stąd jego nazwa. W czasie jego przejazdu szerokie, równe fale łagodnie kołysały, słońce grzało, wiatr morski orzeźwiał — humory i apetyty na statku były wyśmienite.

Skład pasażerów bardzo różnorodny. Honorowe apartamenta zajmował generalny gubernator Wysp Filipińskich, H. L. Stimson, jadący objąć urządowanie — z nim żona i cały sztab, również z żonami, dziećmi, guwernantkami, sekretarzami, detektywami.

Pan Stimson jest podobno osobistym przyjacielem prezydenta Coolidge, uchodzi za jednego z najzręczniejszych amerykańskich dyplomatów. Ma za zadanie wylać cysternę oliwy „Good Will” na wzburzone mózgi filipińskich niepodległościowców.

Średniego wzrostu, żywy, rozmowny, mina, postawa mało generał-gubernatorska, raczej adwokacka.

Dośkonale prezentuje się jego świta. Jenerał, pułkownik, paru adjutantów, paru wyższych urzędników.

Dorodne, wygimnastykowane, wprost popisowe okazy jankesów, wystylizowanych na angielskich lordów (lepszych wzorów cywilizacja dotąd jeszcze nie wyprodukowała).

Żony ich i córki, piękne i rasowe kobiety, ubrane — nigdy za modnie, z nieobciętemi włosami, rów-

niez miały w zachowaniu arystokratyczny spokój i umiar.

A właśnie zewnętrznej równowagi brak naogół kobietom ze świeżo dorobionej plutokracji amerykańskiej; nie potrafią jeszcze uchwycić właściwego tonu. Zależnie od — pogody, udają rozbrykanych chłopaków, paryskie kokoty, sawantki. Obcemu trudno utrafić. Towarzysko przyjemniejsi są mężczyźni — czasem rubaszni, ale weseli, łatwi.

Do Japonji, Chin, na Filipiny, jechali z licznymi rodzinami amerykańscy przemysłowcy, kupcy, misjonarze, kilkunastu Chińczyków, kilku Japończyków, po kilku hiszpańskich i portugalskich metysów, do Indyj jechał ksiądz jezuita i pięć katolickich szarytek.

Na statku wszyscy się poznają, ale naturalnie grupują w kółka według inklinacji, biznesu.

Ameryka była już poza mną — starałem się zbliżyć z rasą żółtą.

Z Japończykami szło trudno. Są nadzwyczaj uprzejmi, ale jakoś zasadniczo odmienni, inaczej myśla, inaczej rozumują — trudno się dokopać wspólnego ludzkiego podglebia.

Dużo było łatwiej z Chińczykami. Bardzo bystrzy, doskonale poinformowani o sprawach europejskich i amerykańskich, chętnie i interesująco opowiadają o sprawach chińskich. Przytem fizycznie nie są tak obcy — cera trochę bardziej żółta, oczy trochę bardziej skośne — takie same typy spotyka się w Europie, np. Clemenceau, nasi lipkowie, kozacy.

Zauważyłem, że Amerykanie traktują zupełnie inaczej Chińczyków, niż innych kolorowych.

Zbliżyłem się również z księdzem z Indyj, Rev. P. Sullivan S. J. Pochodził z Detroit, w parafji swojej, na południe od Kalcutty, spędził dziesięć lat. Spalony na kość, wychudły, zawsze wesoły, równy, dla wszystkich uprzejmy, bardzo rozumny. W paru rozmowach więcej dowiedziałem się o hinduizmie, jogach, braminach, Ghandim, niż z tuzinów przeczytanych książek.

Przez jedenaście dni nie widzieliśmy lądu. Czasami na horyzoncie ukazywał się statek; przewijał się rekin, wyławiający kuchenne odpadki, godzinami, równoległe z Mc Kinleyem płynęły szwadrony delfinów, wyskakiwały rybki latające. Niebo szaro błękitne, woda zielono-błękitna.

W dzień kwitły gry pokładowe. Szufelkami suwa się drewniane krążki na oznaczone cyframi, narysowane na deskach pokładu kratki; rzuca się do celu płaskie, wypełnione piaskiem woreczki i t. p.

Najlepszym z tych sportów morskich jest pokładowa piłka volley ball. Ogródzony wysokimi siatkami kawałek pokładu, podzielony białymi linjami, jak normalny plac tenisowy, tylko pola są znacznie mniejsze. Siatka pośrodku wyższa, na wzrost człowieka. Zamiast piłek, krążki grubej liny, obszytej płótnem. Rzuca się je ręką — przeciwna partja musi schwycić i natychmiast odrzucić. Liczenie, jak w tenisie.

Wieczorem, po obiedzie, kino, potem dancing na



pokładzie. Co kilka dni, zazwyczaj przed przyjazdem do ważniejszego portu, bale kostjumowe, połączone z popisami muzyków i śpiewaków z pośród publiczności. Długie przyjaciół rozmowy, karty, domino, flirt.

Mimo tych rozrywek, deptanie wkółko na zamkniętej przestrzeni zaczyna nużyć. Za niebiesko, za spokojnie.

Dwunastego dnia podróży wszyscy bez wyjątku zerwali się o świcie, aby jaknajprędzej ujrzeć żółte japońskie skały, srebrzysty ścięty szczyt świętej góry Fudzi.

## XIX. CZTERDZIEŚCI GODZIN W JAPONJI.

Temu lat kilka trzęsienie ziemi i pożar zniszczyły prawie doszczętnie Jokohamę i Tokio. Obecnie ślady katastrofy są już kompletnie usunięte, ale na miejscu labiryntów uliczek, zabudowanych altankami z deseczek i naoliwionego papieru, stały się wzdłuż prostych szerokich ulic domy i domki żelazobetonowe, nowojorsko-londyńsko-parysko-berlińskiego typu. Akcent japoński nadają jedynie wielkie, podłużne, bardzo kolorowe godła, szyldy, i stroje przechodniów. Kobiety wszystkie bez wyjątku ubrane w tradycyjny kostjum — barwne kimono, przepasane szeroką szarfą z kokardą z tyłu; czarnogranatowe, lśniące włosy upięte w wysokie koki; na nogach białe pończoszki-rękawiczki, z oddzielnym wielkim palcem, przytrzymującym rzemyk drewnianych trepek-koturnów. Mężczyźni — niektórzy ubrani po europejsku, inni po japońsku — większość pół-na-pół — w miękkich filcowych ka-

peluszach, żółtych sznurowanych butach, granatowych lub czarnych kimonach z wyhaftowanym na plecach herbem — znakiem firmowym — nazwiskiem.

Tramwaje jak w Warszawie. Z taksówkami-fordami konkurują riksze, lekkie dwukołki, ciągnięte przez niebiesko i kuso ubranych człowieczków.

Z portu Jokohama do Tokio przejazd trwa niecałą godzinę. Dworzec, w stylu Louis XIII, stoi w samym centrum miasta, zajmuje jedną stronę placu zabudowanego wielkimi, sześciopiętrowymi żelazobetonowymi pudłami. O paręset kroków, naprzeciw dworca, szeroka, pełna wody fossa. Z poza muru z wielkich głazów wyglądają zadarte nosy dachów ze lśniącej, polewanej dachówki, histerycznie powykęcane japońskie sosny — Kojimac-Hi-ku — święta dzielnica, zamieszkała przez Syna Słońca, boskiego Mikada.

W dzielnicy rezydencyjnej, zabudowanej ocalałymi podczas pożaru, prześlicznymi starojapońskimi świątynkami i pałacykami, w grupie starych, pięknych drzew, europejska willa, nad drzwiami Biały Orzeł, napis — „Poselstwo Polskie“. Służba-japończycy, na ścianach japońskie kakemono, umeblowanie pół japońskie. W takim otoczeniu dziwne robi wrażenie spotkanie ze znajomymi z klubu Artystycznego, kawiarni Ziemiańskiej.

Gorąco chwałę japońską gościnność, kulturę, rycerskość, dokuczają im bardzo ciągle trzęsienia ziemi — ostatnie, przed paru dniami, rozwaliło wszystkie piece, a jest właśnie zima, kilka stopni mrozu.

Jak wszędzie, informuję się o szansę naszej propagandy artystycznej. Na powodzenie może liczyć dobra wystawa graficzna, pożądanym byłby dobry polski film krajoznawczy; nie wiedzą co począć z pakami przysyłanych z Warszawy wydawnictw i tygodników propagandowych — po francusku. Francuski znają tu jedynie nieliczni lingwiści. Językiem międzynarodowym na Dalekim Wschodzie jest obecnie angielski, tylko angielski.

Łaskawie użyzionym samochodem poselstwa szofer, uprzejmy żółty gentelman, obwiózł mnie po całym Tokio, po ruchliwych, szerokich ulicach, prześlicznych zaułkach starych dzielnic; pokazał z jubilerską pieczołowitością wykończone parki, lekkie, wytworne świątynie. Porcja była zaduża — wszystko mi się w głowie pomieszało — pamiętam tylko: zewsząd stała dominantę — biały szczyt świętej góry Fudzi.

Lunch zjadłem w „Imperial Hotel“, wielkim gmachu z żelazo-betonu, zbudowanym w stylu modernistyczno-azteckim przez słynnego reformatora architektury, amerykańczyka F. L. Whrigta. Jedzenie europejsko-japońskie, smaczne, doskonała lekka wódka ryżowa „saki“.

Pobłądziłem popołudniu po „Imperial Museum“, zawierającym 170.000 pierwszorzędných okazów chińskiej i japońskiej rzeźby, malarstwa, lakierów, złotnictwa, porcelany, broni, tkactwa i t. p.

W gmachu obok muzeum była urządzona wysta-



wa „Japońskich modernistów“. Pięć wielkich sal wypełniały malowane na sposób paryski olejne pejzażyki, kwiatki i akciki. Nudno, bardzo nudno. Wśród ciężkich mazanin tych nippońskich Mattisów, Derainów, Utrillów, jedyną pociechą dla oka były firanki i poduszki na krzeselkach, zrobione z perkalikowych fabrycznych druczków, w piękne stylizowane motywy roślinne, prawdziwie po japońsku czyste i harmonijne w kolorze.

Wieczorem wyjechałem do Kioto, koleją, dzieść godzin. Wagony typu amerykańskiego, wypucowane, wylakierowane. Nocą widziałem niewiele — świt rozwinął subtelnie zabarwione taśmy przecedzonych japońskich pejzaży.

W srebrnych ramkach kanałów jasno zielone półka, grupki szarych domków, krytych żółtą słomą. Wśród lasków starych iglastych drzew czerwono lakierowane ściany świątyniek i klasztorów, złociste posągi Buddy.

Magnackie zamki z wielkich głazów, szerokie zadarte niebieskie lub żółte dachy miasteczek. Po wysokich nasypach szos rozsypane różnokolorowe konfetti — dzieci idące do szkół. Na polach rojno od niebiesko poubieranych figurek, w okrągłych ze słomy ryżowej kapeluszach, szerokich słomkowych pelerynach. Błękitne jeziora — granatowe pasma górskich lasów, śnieżne szczyty.

W Kioto, poza dworcem, tramwajami, kilkunastu gmachami banków i wielkich magazynów, wszystko

jest jeszcze po staro-japońska. Mnóstwo świątyń z politurowanego, lakowanego, złożonego drzewa, lekkich, wytwornych, otoczonych nadzwyczaj starannie utrzymanymi parkami. Na wąskich, prostych uliczkach postacie z drzeworytów Hokusai'a, Hiroszigi sprzedają, kupują, noszą ciężary. Z niezliczonych herbaciarni i restauracyjek rozbrzmiewa tkliwe, ciche miauczenie — japońska muzyka, przygłuszona rytmicznym stukotem drawnianych trepek przechodniów.

Obiad zjadłem japoński. Całe menu podano od razu. Lakierowana tacka zastawiona była szczelnie spodeczkami z płynami, jarzynami, kawałkami ryby, konfiturami. Do tego duży bol sypkiego ryżu i imbryk zielonej herbaty.

Pałeczkami nie mogłem sobie dać rady — po długich poszukiwaniach dostarczono mi łyżkę drewnianą. Potrawy, trudne do zdefinjowania, o wyraźnych smakach, przyjemne są dla europejskiego podniebienia, ale mało sytne. Usługują ślicznie poubierane, uprzejme kobiety.

Wieczorem zdążyłem jeszcze zajść do japońskiej herbaciarni.

Salka obita perkalikiem w kwiaty, w oknach wazoniki z kwiatami, na stolczkach wazoniki z kwiatami, z sufitu zwieszają się wazoniki z kwiatami. Na scenie osóбки w jedwabnych, ciężkich, haftowanych w kwiaty stroikach powoli i spokojnie przeginają się, poruszają wachlarzami, rączkami, „tańczą“, inne

osóbki siedzą w kuczki, cieniutkimi głosikami śpiewają, pobrzękują na strunowych instrumentach. Między stolikami poważnie krążą śliczne stworzonka w tęczyowych kimonach, roznoszą filiżaneczki herbaty, „saki“, tacki barwnych jak kwiaty przekąsek.

Helas, Mc. Kinley odchodził o 12 w nocy, trzeba było wracać na statek. Skończył się dla mnie najpiękniejszy, najdziwaczniejszy z filmów — Japonja.

Kraj ten czaruje, zachwyca — pejzaż, budownictwo, sztuka, ludzie — wszystko jest takie subtelne, wytworne, doskonale — i jakby smutne.

Japonja jest w bardzo trudnej sytuacji: konflikt wewnętrzny — najgłębszych podstaw światopoglądu japońskiego i aryjskiego (Mikado — wcielony bóg—cesarz—i demokratyczna konstytucja, kobieta — niewolna służebnica, zabawka—i równouprawnienie). Przeludnienie, nędza tłumów; ciągłe katastrofy — trzęsienia ziemi, pożary, powódzie.

W powietrzu unosi się jakby ciężka chmura niedobrych przeczuć. Oby ją rozproszyły wiatry Oceanu Spokojnego.

## XX. SZANGHAJ.

Noc i cały dzień płynęliśmy japońskim morzem wewnętrznym. Powietrze chłodne, przejrzyste, woda jaśnie błękitna, spokojna; z obu stron, raz bliżej, to znów dalej, liljowe smugi brzegów, białe szczyty wysp Hondo, Szikoku, Kyuszu. Mc. Kinley ociera się prawie o archipelagi małych wysepek, pociętych zie-



lonemi tarasami pól uprawnych, zarośniętych lasami, lub zupełnie bezludnych, fantastycznie spiętrzonych żółto-rudych skał.

Ciągle mijamy statki pasażerskie, transportowce, dżonki, łódeczki rybackie. Pod wieczór morze zwęża się w kilkusetmetrowy przesmyk, gołem okiem widać tramwaje, samochody, przechodniów na ulicach Modzi i Szaimonoseki, miast fabrycznych, zabudowanych budynkami europejskiego typu.

Wjeżdżamy na morze Żółte.

Jest ono koloru mętno-zielonego, bliżej brzegów chińskich koloru nefrytu. Zabarwia je w ten sposób ił rzeki Jang-tse-kiang.

Znowu dzień i noc na morzu. O porannym przypływie wjeżdżamy do Szanghaju. Na szerokiej, głębokiej, żółtej rzece roi się od dżonek, właśnie takich, jak na obrazkach — przysadkowatych, z zadartym nosem, żaglem ze słomy ryżowej. Po obu brzegach stłoczone w szeregi dżonki, dżonki, dżonki.

Środkiem rzeki długi rząd pancerników i torpedowców, wszystkich morskich potencyj świata. Najwięcej angielskich i Stanów Zjednoczonych, japońskich; są także włoskie, francuskie, nawet portugalskie. Armaty wycelowane na miasto.

Mc. Kinley zatrzymuje się na 24 godziny w dokach. Mały stateczek „lench“ dowozi nas na bulwar, szeroki, zadrzewiony, wyasfaltowany, zabudowany wielkimi, klasycznymi i renesansowymi gmachami. Wśród skwerów brązowe i marmurowe postacie róż-

nych miejscowych znakomitości: panowie w tużurkach, w europejskich mundurach. U stóp tych aryjskich pomników i pałaców chińskie mrowie: średniego wzrostu, jaśniejsze od Japończyków; mężczyźni ubrani w czarne bluzy i spodnice do kostek, kobiety w takiej bluzy, długie spodnie (w Chinach tylko emancypantki chodzą w sukniach, w spodniach — tylko radykali).

Zabiegani, rozkrzyczani, handlują, noszą ciężary, ciągną wózki, żebrzą. Nieliczni biali, ubrani jak lordowie, dumni jak królowie — wszystko przed nimi ustępuje. Na rogach ulic parki policjantów — brodaty Hindus w turbanie, z rewolwerem przy pasie, i Chińczyk w angielskiego kroju mundurze, z pałeczką. Krążą patrole białych żołnierzy — po pięciu, w hełmach, z nasadzonemi bagnietami: jak w Warszawie podczas okupacji.

Poza europejską fasadą bulwarów, kilku przylegających ulic, rozlewa się daleko wgląd kraju dwumiljonowe miasto chińskie. Przypomina nieco nasze Nalewki, tylko dziesięć razy ruchliwsze, hałaśliwsze — i brudniejsze. Domy trzy- czteropiętrowe, od dołu do góry pooblepiane szyldami, z okien powywieszane w poprzek ulicy pstrokate płachty z hieroglifami chińskich reklam. Trotuary i jezdnia zapchane tłumem w długich czarnych strojach, w czarnych myckach na głowach. Torują sobie drogę wrzaskiem, trąbieniem, dzwonieniem — taksówki; dorożki - dwukółki, ciągnięte przez rosłych oberwańców; tragarze, dygu-

jący po czterech, sześciu olbrzymie paki na bambusowych drągach.

W sklepach dostać wszystkiego: Cadillac'i i Lincolny, japońskie hafty i jedwabie, włoskie marmury i brzozy (same gołe Wenuski), chińskie cyzelowane srebra, kryształy, nefryty, angielskie rakiety, palta nieprzemakalne, paryskie sukienki, kapelusze. Co krok restauracja lub herbaciarnia.

Chińska kuchnia ma doskonałą opinię, w Ameryce nieraz jadałem u Chińczyków. Ale tutaj lokale jakoś dziwnie pachniały, były przepelnione, zaśmieccone. Długo nie mogłem się zdecydować. Wreszcie śladami angielskiego sierżanta wszedłem w rzeźbione w smoki drzwi, z napisem: „Restaurant chinois, Amerikan Drinks“.

Sądząc z zachowania się publiczności — biali panowie, żółte panny — był to także dom schadzek. Jedzenie pół - chińskie, pół-europejskie, smaczne i nadspodziewanie czysto podane, chińskie wino — znośne, herbata świetna.

O zmierzchu ruch i gwałt na ulicach jeszcze wzrasta. Szeroko otwarte, lakierowane na czerwono, złoczone, rzeźbione lokale publiczne przyciągają klientelę ogłuszającą muzyką brzęczących i kwiczących instrumentów. Poprzez gąszcz ludzki przeciskają się dwukołki elegantów i kurtyzan, intensywnie wybielonych, uróżowanych, w jasnych, atlasowych kostjumach. Wrzeszczą sprzedawcy chińskich gazet, róż-



nych, ociekających tłuszczem gorących smakołyków. Powietrze przesyca woń — jakby oleju rycynowego.

Wróciłem do dzielnicy europejskiej, w solidnym angielskim hotelu zjadłem uczciwy angielski obiad.

Byłem jeszcze w dzielnicy francuskiej, w kaba-recie: paryskie kokotki, rosyjskie księżniczki, polskie żydóweczki tańczyły charlestona z komiwojażerami i oficerami wojsk okupacyjnych.

Na ścianach wielkie afisze — za trzy dni „Purym Bal“, za tydzień „Maslanica“.

O porannym przyplywie Mc. Kinley wypływał z „wolnego portu“ Szanghaju.

## XXI. HONGKONG.

Angielska kolonja. Angielska pogoda — mgła, równy, ciepły deszczyk. Z mgły wyłaniają się scenki z angielskich niebieskich fajansów: siedzi na skale Chińczyk w szerokim stożkowym kapeluszu, łowi ryby na wędkę; po nadmorskiej drodze kulisi niosą złotego grubasa w lektyce; schnące sieci, kilka trzcinyowych chatek, na wzgórkę pagodka; dżonki z kwadratowymi słomianymi żaglami. Wyłaniają się także twarde kontury statków wojennych, wielkie parowce.

Na molu oczekuje na Mc. Kinleya grupa czarnych, ociekających wodą parasoli; pod parasolami granatowi, wyzłoceni admirałowie w pierogach z pióropuszcami, generałowie w mundurach khaki, z tęczą orderów na piersiach, panowie w żakietach i cylin-

drach — władze Wyspy Hongkong witają nowego sąsiada, generalnego gubernatora Wysp Filipińskich — Stimsona.

Ceremonjał powitań odbył się szybko i sprawnie w salonie Mc. Kinleya, cała oficjalna kompanja odpłynęła na dalszy ciąg przyjęć ślicznemi motorówkami admiralicji angielskiej.

Można było wyjść na miasto.

Hongkong prezentuje się imponująco. Długi bulwar zabudowany jest rzędem wielkich banków, biur okrętowych, hoteli, urzędów, wszystkie w stylu klasycznym, z podcieniami na kolumnach. W samym środku obszerny skwer, tradycyjny, angielski, intensywnie zielony trawnik, wśród intensywnie kwitnących krzewów pomniki królowej Wiktorji, króla Edwarda VII, jego żony, żołnierzy poległych w Wielkiej Wojnie, różnych generałów, admirałów. Od bulwaru wgląd miasta biegną proste, szerokie ulice, również zabudowane wielkimi gmachami z podcieniami; dalej idą stromo w górę, ku dzielnicy willowej na górze Pick.

Za portem stara dzielnica chińska, Kowloon, labirynt wonnych, wąskich uliczek, przewiewnych domków, pozawieszanych pstrokacizną drewnianych podłużnych szyldów, płacht reklamowych, chorągwi reklamowych, latarni reklamowych.

Sklepy zaopatrzone wspaniale. Najlepsze towary angielskie, samochody, broń, krawaty, materjały, wszystkie odmiany whisky; najlepsze towary chiń-

skie: wykopaliska dynastji Han (r. 206 przed Chrystusem—265 po Chrystusie); porcelany i brzozy dynastji Ming (1368 — 1643); jedwabie, hafty, rzeźby z ametystu, kryształu, dynastji Qing (1644 — 1908). Obecnie, za republiki, Chińczycy wciąż jedni drugich oswabadzają i jednoczą, nie mają więc czasu na wytwarzanie wartościowych towarów.

Hongkong swój rozwój i bogactwo zawdzięcza w znacznej mierze tym właśnie chińskim liberalnym i syntetycznym dążnościom. Przywódcy wszystkich partyj, wicekrólowie, generałowie w hongkongskich bankach lokują swoje „oszczędności“, w hotelach i podmiejskich willach swoje rodziny — i siebie — w okresach złej dyrekcji Marsa. Za nimi ściągają sztaby wojskowe i urzędnicze, też zazwyczaj nieźle obłowione; przemycają się kupcy, rzemieślnicy, rolnicy, ciągle przez wyżej wymienionych rabowani, ewentualnie zagrożeni utratą nosa — uszu — głowy.

W rezultacie przeludnienie w Honkong straszne. Nocą pod wszystkimi kolumnadami śpią na słomiankach rzędy żółtych mężczyzn, kobiet, dzieci. Anioły stróże w postaci rosłych, brodatych Hindusów, „Sikhów“, mają nielada kłopot z utrzymaniem jakiego takiego porządku.

Chińczycy południowi są ciemniejszej, bardziej bursztynowej cery, węższej budowy, niż Chińczycy z Szangaju. Obie płci noszą niebieskie spodniki, kobiety rodzaj luźnych kaftaników, mężczyźni najczęściej do pasa goło. W deszcz okrywają się sło-



mianami pelerynami i kapeluszami. Mówią tak zwanym dialektem kantońskim, zupełnie jakoby niezrozumiałym dla Chińczyków północnych.

Podobno w Chinach istnieje cały szereg lokalnych, bardzo odmiennych dialektów. Językiem uczonych i urzędów jest dialekt mandaryński, spełniający rolę łaciny w naszym średniowieczu.

Wypogodziło się, zrobiłem wycieczkę na górę Pick. Doskonała droga samochodowa prowadziła serpentynami, pośród wspaniałych parków publicznych i prywatnych. Roślinność podzwrotnikowa, nadzwyczaj bujna — i bardzo starannie prowadzona. Wille i pałace pobudowane w stylach klasycznych, ale na marmurowych i brązowych tabliczkach dużo chińskich nazwisk. Luksusowe limuzyny mają białych szoferów, na poduszkach dumnie rozsiadają się Chińczycy w rogowych okularach, jedwabnych chałatach i myckach, Chinki w jasnych kaftanikach i spodeńkach.

Z góry i na górę ciągną szeregi objuczonych pakami i lektykami kulisów — ludzka siła pociągowa, a właściwiej nośna, jest tutaj tańsza od końskiej lub motorowej.

Ze szczytu góry rozległy widok na całe miasto, obszerny i ożywiony port, góry kontynentu i wysp, skomplikowaną wycinankę zatok i przesmyków.

Szangaj zostawił mi fatalne wrażenie — wielki biały wrzód, zatruwający żółte cielsko.

Hongkong — jest to ubrany kwiatami i zielenią,

elegancki kantor z próbami angielskich towarów, a także angielskiej praworządności, porządku, bezpieczeństwa. Chińczycy zlatują się sami, jak muchy na lep.

## XXII. MESSAGERIES MARITIMES.

W Hongkongu opuściłem Mc. Kinleya, jadącego do Manilli; kupiłem bilet drugiej klasy do Singapur na statek linii francuskiej „Messageries Maritimes“, „Général Metzinger“, parowiec o dwóch kominach, trochę krótszy, znacznie niższy i węższy od okrętów „Dollar Line“.

Porządki — gorsze: po kątach śmiecie, podłogi rzadko myte, w łóżku kąsa, po ścianach biegają prusaki.

Pasażerów niewielu. W pierwszej klasie jakaś bardzo umalowana damulka, paru chorych oficerów z szangajskich wojsk okupacyjnych, paru Chińczyków. W drugiej urlopowani podoficerowie z żonami, trzech europeizowanych Chińczyków, dwóch schorowanych hiszpańskich franciszkanów z wysp Filipińskich, dwie angielskie szarytki, wracające z Chin na rekonwalescencję do kraju, ponadnarodowy, międzynarodowy handlarz jaj, tłusty, kędzierzawy człowieczek z dużym nosem.

Przy pierwszym jedzeniu całe to różnorodne towarzystwo zawarło znajomość. Niema, jak francuska kuchnia. W drugiej klasie, na okręcie, jadło się lepiej, niż w pierwszorzędnym restauracjach Stanów

Zjednoczonych. Stołowe wino czerwone „pinard“, ile kto wypije, z lodem, w upał — doskonale smakowało.

Zbliżaliśmy się do równika, słońce bardzo paliło, noc wcale nie chłodziła. Przez moją kabinę przechodziła rura, odprowadzająca parę z kotłów — miałem zupełnie nadetatowe centralne ogrzewanie. W lutym wzdychałem do miłych chłódów polskiego lata.

Na czwarty dzień podróży, wczesnym rankiem, wpłynęliśmy na rzekę Saigon. Miasto Saigon, stolica francuskich Indo-Chin, leży o kilkadziesiąt kilometrów w głąb lądu. Rzeka, bardzo głęboka, szeroka jest jak ćwierć Wisły i pełna zakrętów.

„Général Metzinger“ dopiero koło południa dobił do portu.

W tem miejscu zaszło jedyne w ciągu całej mojej podróży nieporozumienie paszportowo-wizowe.

W Hongkongu zaszedłem do konsula francuskiego, aby uzyskać wizę na zwiedzenie Saigonu. Konsul był nieobecny, sekretarz Chińczyk poinformował mnie, że na kilkogodzinną wycieczkę wiza nie jest potrzebna.

Policja saigońska, po przejrzeniu paszportów, wypuściła na brzeg Hiszpanów, Chińczyków, handlarza jajek, mnie tego przywileju odmówiła, gdyż jakoby istnieje ścisły zakaz wpuszczania do Indo-Chin słowian, jako „niebezpiecznych agitatorów“. Tłumaczyłem, że nie wszyscy słowianie są bolszewikami, że nawet niektóre szczepy — Polacy, Czechosłowacy, Ju-



gosłowanie, są sprzymierzeńcami Francji. Nic nie pomogło. Apelowałem do komisarza portu. Bezskutecznie. Mogłem jeszcze apelować do gubernatora, ale na dyplomatycznych rokowaniach zeszedł cały dzień, w Saigonie nie było do zobaczenia nic specjalnie ciekawego — dałem za wygraną, zostałem na statku.

Cały następny dzień ładowano worki z ryżem. Do statku podjeżdżały krótkie, pękate berlinki. Po kładkach i pokładzie biegały małe brązowe figurki w czarnych spodeńkach i kurteczkach, bosó, z cienkimi warkoczami na tyle głowy — niesposób odróżnić mężczyzn od kobiet. W południe i pod wieczór łódki - restauracje rozwoziły jedzenie. Koło tacek, zastawionych mnóstwem garnuszków i spodeczków, zasiadały figurki w kółko, „w kuczki“, kolejką czerpali palcami różne dziwne jadała, kolejką łykali napoje. Na noc układali się parkami na pokładzie berlinek— przykrywali z głową rogożami... jak te strusie.

Po zachodzie słońca zaczęli ściągać nowi pasażerowie, całe rodziny urzędników, wojskowych, kolonistów. Miny umarłaków — chudzi, z cerą cytrynową, albo apoplektyków, nalani, czerwoni, jak burak— ofiary saigońskiego, bardzo gorącego i bardzo wilgotnego klimatu. Odprowadzała państwo liczna służba, nieokreślonej płci, drobne figurki w czarnych ubrankach. Pożegnania były wzruszająco serdeczne — całowali ręce, łasili się, mieli łzy w oczach. Podobno ludność anamicka do Francuzów odnosi się naogół życzliwie. Wąтли, słabi, łagodni, czują potrzebę opieki, obrony przed chińskim zalewem.

Było gorąco, parno, nie chciało się spać — długo w noc rozmawiałem na pokładzie z Chińczykami. Dwóch z nich jechało w misji rządu kantońskiego do Europy, trzeci był urzędnikiem do spraw chińskich na Jawie, wracał z Pekinu, od Czang-tso-lina. Piliśmy „Pernod and soda“ — absynt rozmarza, rozwiązuje język.

W wojnie domowej przepowiadali zwycięstwo nacjonalistów z Południa — sprawdziło się. Imponowały im Stany Zjednoczone, marzyli o zaprowadzeniu u siebie podobnego ustroju — i bogactwie. Z Anglikami mieli nadzieję dojść do porozumienia polubownie: „Anglicy kolonij mają dosyć, poszukują rynków zbytu“. Japończyków niecierpieli, uważali ich za małpy — dawniej kultury chińskiej, obecnie europejskiej.

Z ogromnym apetytem zerkali na Syberję.

Kląską Chin współczesnych jest przeludnienie. Według chińskich wierzeń byt pośmiertny duszy podtrzymują ofiary potomków. Gdy potomków i ofiar zabraknie, dusza cierpi katusze głodu: każdy Chińczyk stara się mieć jaknajwięcej dzieci. Trzeba je gdzieś pomieścić.

W Chinach jest już bardzo ciasno. Od czasu wojny japońsko-rosyjskiej dwadzieścia milionów Chińczyków osiedliło się w Mandżurji, pięć milionów na Formozie — miliony emigrowały do kolonij angielskich, francuskich, holenderskich. Wszędzie już pełno, więcej Chińczyków nie puszczają. Do Ameryki też nie puszczają. Jako naturalny teren ekspansji pozostają jedynie słabo zaludnione tereny Rosji Sowieckiej.

Podobno już obecnie we Władywostoku, Błagowieszceńsku, Czycie więcej jest Chińczyków, niż Rosjan. Bolszewicy mogą mieć nieprzyjemne niespodzianki od strony wschodniej.

### XXIII. MALAY STRAITS.

Gorący dzień miałem w Singapur. Trzeba było uzyskać wizę na wjazd do Indyj, kupić bilet na inny statek, przetransportować rzeczy — to wszystko w obcym, wielkim mieście, przy temperaturze czterdziestu stopni Réaumura w cieniu. Działo się ósmego marca, ale z Singapur do równika — rękę podać.

Wszystko załatwiłem pomyślnie i szybko dzięki rączym nogom żółtych golasów, ciągnących eleganckie, granatowo lakierowane, lekkie dwukółki z białym daszkiem — riksze. Zostało mi jeszcze parę godzin czasu na zwiedzanie.

Singapur zasadniczo podobne jest do Hongkongu, tylko bardziej spalone słońcem, rozleglejsze. Położone także na wyspie; w dzielnicy angielskiej takie same klasyczne gmachy z podcieniami, gotyckie kościoły, pięknie utrzymane parki i trawniki, pomniki królów i admirałów. Obok dzielnica chińska, ludna i brudna. W porcie ruch olbrzymi — jak przed dworcem Wiedeńskim — taksówki, zajeżdżają i odjeżdżają transatlantyki; w roli policjantów konnych — pancerniki, pieszych — torpedowce. Singapur jest stacją węzłową dla połączeń Europy, Afryki, Indyj z kraja-



mi Dalekiego Wschodu, Australją, archipelagami mórz południowych.

Na ulicach centrum spotyka się sporo białych, w białych płóciennych ubraniach, białych kaskach korkowych, i roje Chińczyków; w porcie, w uboższych dzielnicach — autochtonów Malajczyków. Mężczyźni, bronzowi, średniego wzrostu, suchej, muskularnej budowy, noszą tylko opaskę koło bioder i kolorowy turban. Kobiety, trochę jaśniejszej, ciemno-bursztynowej cery, za cały strój mają „sarong“, kawał pstrej jedwabnej lub bawełnianej materji, szczelnie opinającej figurę od piersi do kolan. Zgrabne, gazelookie, rysy drobne, delikatne, poki młode — śliczne.

Przed przybyciem białych, Malajczycy, doskonali żeglarze, waleczni wojownicy, podbili wszystkie wyspy i półwyspy mórz wschodnio-indyjskich i południowo-chińskich, robili wyprawy pirackie aż po Madagaskar i Formozę.

Wielkie szczupaki zjadają małe.

W zaciętych walkach władzę im wydarli Anglicy i Holendrzy, handel i rzemiosła zagarnęli Chińczycy. Obecnie Malajczycy łowią ryby, wożą łódkami na spacer białych i żółtych; służą im jako wolni najmici. W niektórych zakątkach półwyspu Malajskiego, Sumatry, Borneo, panują jeszcze, nominalnie, malajscy radzowie.

W Singapur Anglicy założyli malajskie muzeum. Malajska architektura, tkactwo, złotnictwo kształtowało się pod wpływem sztuki chińskiej i hin-

duskiej. Wytworzyli własny typ broni „kriss“, krótki miecz o ostrzu, wyginanem jak płomień. Ich lekkie, szybkie łodzie, z podniesionym i rozdwojonym tyłem, pomalowane są w jaskrawe pasy, zęby, koła — suprematystyczne ornamenty.

O zmierzchu wyjechałem via Rangoon do Calcutty, na niewielkim statku „The British India S. N. Co“ — „Ellenga“. Oprócz kilku oficerów Anglików, cała załoga była hinduska. Stewardzi — koloru czarnej kawy, w białych spodniach i koszulach, przepasani żółtoniebieskim (barwy British India Co) szerokim pasem, w żółto-niebieskich turbanach — uprzedzająco, żenująco usłużni.

Osób niewiele. Kabinę dostałem czystą, wygodną, z wentylatorem. Jednego towarzysza, podporucznika wojsk angielskich. Był stacjonowany na półwyspie Malajskim, przez trzy lata pilnował któregoś z niepodległych malajskich radźów. Otrzymał półroczny urlop, jechał do Anglii, zbaczał do Burmy, aby odwiedzić siostrę. Nakładał drogi — pięć dni statkiem, dobę koleją, dwa dni łódką na wiosłach, w górę rzeki Irawadi. U siostry zabawi trzy dni, ma już wykupiony bilet z Rangoon do Southampton, 30 dni na morzu. Takie bywają w Anglii przywiązania rodzinne — i żyłka włóczęgowska.

Przejazdem „Ellenga“ zatrzymała się na kilka godzin w Penang. Spokojna, klasycznie zabudowana dzielnica angielska, kipiąca ruchem, jak woda w garnku, dzielnica chińska i hinduska.

Zrobiłem wycieczkę w okolice. Szeroką gudroniowaną drogę ocieniały olbrzymie drzewa liściaste. W cienistych ogrodach lekkie, prostej konstrukcji angielskie bungalow (parterowe wille, otoczone werandami) i niezwyklej urody rezydencje chińskich bogaczy: klasyczne pałacyki, jakby z okolic Paryża, zdobią zadarte kapelusze chińskich szerokich dachów, przybudówki, werandy z czerwono lakierowanych bambusów. Jeszcze zabawniej wypadają próby chinizacji angielskich „cottage“. Cuda te wznoszą chińscy, na europejskich politechnikach kształceni architekci.

Skończyła się dzielnica willowa, zaczął się las palmowy — kolumnada gładkich szarych pni, kapitele z włochatych kul — kokosów, zwarty, ciemno-zielony dach liści.

Polanka, plantacje trzciny cukrowej, bananów, nad wyschlą rzeczką rząd chatek na kurzych nóżkach — wieś malajska. Wszystkie domki na palach, podłoga dwa do trzech metrów nad poziomem ziemi, ściany niedbale zbite z desek, kryte suchemi liśćmi palmowemi. Lśniący golizną panowie siedzą w kuczki na werandach, gadają, żują betel, spluwają, żują betel, gadają. Pół-gołe panie piorą szmatki, coś tam ubijają, coś tam przypiekają na rozłożonych na ziemi ogieńkach. Za wioską świątynia chińska. Na obmurowanym kamieniem tarasie obszerna altana; drewniane, lakierowane koralowo i błękitno pilastry podtrzymują szeroki, zadarty dach z rudych, żółto spatynowanych dachówek, uwieńczony na rudo spatynowane-



mi, złotemi smokami. Wewnątrz złote posągi, żółte hafty; ściany pokryte, na koralowem i błękitnem tle, złożonemi płaskorzeźbami, białemi wielkimi napisami. Ornamenty podkreślone białym i złotym. Efekt ogólny, na tle granatowego nieba, ciemnej zieloności — pierwszorzędny. Architekt, który tę świątynię pobudował, napewno nie kończył politechniki w Europie.

Spóźniony lunch zjadłem we wspaniałym angielskim hotelu nad brzegiem morza. Wysokie, na przestrzał otwarte, przewiewne sale, zielone trawniki, kwiaty, tenis, zejście tarasami do plaży, własna przystań, motorówki — wszystkie rozkosze Angli pod tropikami. Usługują uśmiechnięci Chińczycy.

#### XXIV. RANGOON.

Trzy doby płynęliśmy po spokojnych wodach oceanu Indyjskiego, wzdłuż skalistych brzegów Sjamu i Burmy. We dnie lekkie mgły łagodziły żar słoneczny. O zachodzie dawało słońce wspaniałe widowiska, zapalało na niebie tęcze, festony bengalskich ogniów. Nocą firmament gwiazdny obniżał się do stu metrów; zielono, czerwono, żółto, zielono, czerwono, żółto lyskały latarnie morskie.

Czwartego dnia o świcie wpłynęliśmy na szeroką, mętłą rzekę, Rangoon River, z wytyczonemi, jak na Wiśle, mieliznami. Poprzez złotawe poranne opary, na płaskich, uprawnych brzegach widać grupki

chatek, palm; na wzgórzach, wśród parasoli drzew, wielkie złote dzwony, zakończone ostaremi szpicami buddyjskie pagody i klasztory.

Rangoon... Cysterny benzynowe, fabryki, doki, kamienice; ponad europejskiego typu budowlami lśni w oddali olbrzymi złoty dzwon — Shwe Dagon Pagoda, buddyjska Częstochowa, słynna relikwiami Gantomy Buddy i dwóch innych Buddów, jego poprzedników, dziesiątki, setki, tysiące lat temu.

Anglicy panują w Burmie od lat czterdziestu. Zdobyli ją bez walki: prawie nikt króla, wiary, niepodległości nie bronił. Zagospodarowali Rangoon na swój sposób, pobudowali koleje, gotyckie kościoły, klasyczne szkoły, szpitale, więzienia. Obecnie miasto jest wielkim handlowym portem, liczy 350.000 mieszkańców. Białych — jak na lekarstwo. Czasem przemaszkuje oddziałek żołnierzy, zlustrowa posterunki policyjne biały przodownik, przejedzie rikszą para turystów, komiwojażer. Sfery rządzące wyjeżdżają na spacer konno, samochodami, wczesnym rankiem lub o zmierzchu. W bankach, magazynach, hotelach, cała obsługa chińska; drobnymi kupcami, rzemieślnikami, tragarzami są Hindusi. Trudno się zorientować, co robią i z czego żyją autochtoni-burmani. Drobni, delikatne rysy, cera jaśniejsza od malajczyków, wytwornie ubrani w jedwabne kaftany, turbany, poważnie i powoli spacerują po ulicach. Kobiety ubrane podobnie w jasne, cienkie jedwabie, z kwiatami wplecionymi w czarne włosy, uśmiechnięte, urocze.

Obozują po wszystkich placach i bocznicach, rozpalają ognieńki, warzą strawę tłumy buddyjskich mnichów, wszelkich ras i sekt, boso, z ogolonemi głowami, udrapowani w togi koloru pomarańczy, bursztynu, cytryny, kości słoniowej. Nagie kościotrupy—żebracy, jęczą, krzyczą, kołaczą kołatkami, rytmicznie tłuką czołem o trotuar.

Na rogach uliczne restauracje — żelazny piecyk, zastawiony kociołkami i patelniami. Gość bierze na miseczkę swoją porcję, siada w kuczki wśród kurzu i tłumu, zajada palcami. Dla arystokratów i anglomanów ustawione pod ścianą kulawe stoliki, stołki. Są nawet fajansowe talerze, łyżki.

Próbowałem rangoońskiej kuchni. Ryż z rozgotowanymi kawałkami mięsa, ryby, imbiru, przyprawiony palącym, korzennym sosem. Tłuste, słodkie i pieprzne ciasteczka. Doskonale owoce, odmiany melonów, mango, banany daktylowe, słodkie, pachnące, miękkie.

Całe miasto pachnie, jak sklep korzenny, imbirem i cynamonem. Słońce djabelsko pali.

Tramwajem elektrycznym, natłoczonym mnichami, szeroką, cienistą aleją dojechałem do Schwe Dagon Pogoda. Przed wejściem trzeba było zdjąć buty i skarpetki — do świątyń buddyjskich wchodzi się boso.

Na białych kolumnach fantastyczne spiętrzenie drewnianych, złożonych daszków, strzelistych, jak najpłomienniejszy gotyk, rzeźbionych w chińsko-ro-



kokowe ażury, frendzelki, grzebyki. Pod korytarzem daszków prowadzą w górę szerokie, kamienne schody, z obu stron kramy z rzeźbionemi w marmurze, malowanemi na szkle Buddami, ze świecami, kadzidłem, kwiatami, smakołykami.

Z półmroku długich schodów wychodzi się nagle na obszerny marmurowy taras, zalany słońcem; pośrodku dziurawi granatowe niebo szpic olbrzymiego złotego dzwónu - piramidy, otoczonej wieńcem czerwonych smoków, kandelabrow z kolorowych szkielek. Cały taras zabudowany niezliczonemi kapliczkami we wszystkich stylach Chin, Indyj, Japonji, Tybetu, Malai, złożonemi, rzeźbionemi, oblepionemi ornamentem z kolorowych szkielek i lusterek. Wszędzie posągi Buddy—olbrzymie, wielkości naturalnej, małe, wszystkie w tej samej pozie, ze skrzyżowanemi nogami, ręce wsparte na kolanach, ciało malowane na kolor białoróżowy, europejski, włosy i płaszcz — złożone. Wykonanie niedbałe, zdawkowe.

W labiryncie kapliczek spacerują, modlą się, wygłaszają kazania, jedzą, śpią mnisi we wszystkich odzieniach żółci, pielgrzymi chińscy w czarnych chałatach, Japonki w jaskrawych kimonach, rośli Tybetańczycy, z szopą nigdy nie czesanych włosów na głowie, w brązowych, samodziiałowych derach. Różowe, seledynowe, pistacjowe jedwabie Burmanek, tkane złotem hinduskie stroje... Między nogami płczą się kury, gołębie, psy.

Byłem jedynym białym. Rozpalone marmury pa-

rzyły w gołe pięty, refleksy pozłot, szkiełek oślepiały. Wszyscy byli bardzo uprzejmi, mimo to czułem się raczej niewyraźnie wśród obcego, dziwnego świata świętości i świecideł, ascezy i kabaretowego przepychu.

Między Pagodą a miastem rozciąga się „Cantonnement“, dzielnica angielska, zabudowana lekkimi parterowymi willami, z obszernymi werandami, wśród cienistych ogrodów. Tenisy, golf, pole wyścigowe. Park imienia królowej Wiktorji. Ogród botaniczny i zoologiczny. W ogrodzie zoologicznym doborowa kolekcja tygrysów i grzechotników — zwierzątka w Burmie równie pospolite, jak u nas zające i kuropatwy. Pielgrzymi do relikwii trzech Buddów tłumnie odwiedzają te angielskie instytucje.

Jest jeszcze w Rangoon kilka innych klasztorów buddyjskich. Typ zasadniczo ten sam. Na środku ogrodzonego tarasu złota dagoba z relikwjami któregoś z Buddów. Naokoło—kapliczki i chatki mnichów. Mnisi buddyjscy uprzejmi, nie chciwi, chętnie oprowadzają po świątyniach. Nieprzyjemny jest dla europejczyka obowiązek zdejmowania trzewików i skarpetek. Kontakt rzadko zamiatanej, rozpalonej podłogi w zarodku gasi nirwanistyczne ekstazy.

## XXV. KALKUTTA.

Z Rangoon do Kalkutty podróż trwa trzy dni. W deltę Gangesu wjechaliśmy nocą. Obudziło mnie szuranie dna statku po piasku, szarpanina maszyny

wtył i naprzód. Stop. Siedzimy na mieliźnie. Przypomniały się podróże po Wiśle.

Morze było spokojne, rano zdjął nas z mielizny przyływ. Płyniemy odnogą Gangesu, szerokości Wisły pod Warszawą. Brzegi płaskie, zarośnięte — zamiast wierzb i grusz — palmami, drzewami mango-wemi. Mijamy łodzie naładowane owocami, sianem, chrustem. Wiosłują, stojąc, brązowe golasy, z białą przepaską na biodrach — kształt łodzi, pozy wioślarczy — jak na egipskich freskach.

Cysterny, fabryki, cytadela. Dobijamy do przystani.

Brodaty szofer koloru irysa (cukierka) w olbrzymim różowym turbanie przez rozpalone ulice odwozi mnie do hotelu Continental. „Komfort współczesny, pokój z utrzymaniem — 10 rupij“ (rupja —  $3\frac{1}{2}$  złotego). Wypada tłum służby różnych dostojęństw i lat, wszyscy biało ubrani, we wspaniałych turbaniach i pasach. Triumfalnym pochodem wnoszą moją walizkę do pokoju na pierwszym piętrze.

Hotel, pobudowany przez Anglików, kiedyś zaopatrzony był w cały „ówczesny komfort“. Od kilku lat przeszedł w zarząd hinduski — nie wyszło mu to na zdrowie. W zjedzonej przez rdzę wannie skład ścierek; prysznic i krany — zepsute; wentylator — zepsuty. Krzesła, fotel — chwiejne; sprężynowe łóżko — Himalaje, szczyty i przepaście; nieznane, bardzo kąśliwe odmiany robactwa. Jedzenie, anglo-indyjskie, pieprzne i korzenne, smaczne; doskonała herbata cały



dzień na zawołanie. Bataljony służby, zwinięte w kłębki, śpią po wszystkich kątach korytarzy i tarasów.

Front hotelu wychodzi na słynny kalkucki „Maidan“, Plac Saski i Hyde Park Indyj. Kilkaset morgów gazonów, porośniętych wielkimi drzewami, szerokie aleje z rzędami pomników. Tu odbywają się rewje wojskowe, tu wylega na spacer „cała Calcutta“. Niestety, słońce Indyj pali, gazony zrudziały, bronzowi generałowie i admirałowie dają mało cienia, drzewa rzadkie.

Koło Maidanu zgrupowane są instytucje państwowe, banki, kluby, hotele, imponujące klasyczne gmachy, ozdobione profuzją doryckich i korynckich kolumn. Na jednym końcu Maidanu, wśród kwiatów, kwitnących krzewów, szmaragdowych trawników, pałac gubernatora, na drugim końcu, o parę kilometrów, w otoczeniu stawów, klombów, tarasów olbrzymi, śnieżno-biały, klasyczny budynek, z wysoką, wzorowaną na św. Piotrze kopułą pośrodku — Victoria Memorial.

Po Maidanie, po trotuarach szerokich, prostych ulic snują się tłumy autochtonów. Mężczyźni niższych kast, koloru palonej kawy, noszą tylko opaski na biodrach i turbany; klasy średnie w krótkich białych spódniczkach, podpiętych między nogami, luźnych kolorowych koszulach, na głowie kolorowy turban, albo mycka haftowana złotem, wszyscy boso. Portjerzy, dozorecy — w strojach kinowych maharadzów. Spotyka się również **Hindusów** angliczowanych, w korko-

wych hełmach, patentowanych trzewikach na bosych nogach. Kobiety — wszystkie w tradycyjnym hinduskim stroju, najpiękniejszym chyba na świecie. Biust opina obcisły stanik, sięgający tylko poniżej piersi, cała talja goła, nisko na biodrach spódnica, spadająca szerokimi fałdami do kostek. Obie te części stroju z purpurowych, fioletowych, ciemnozielonych jedwabi. Od głowy spływa „sari“, długi, wąski szal, drapujący całą postać, z przejrzystej jasnej materji, o odcieniach turkuszu, szafranu, rózu, przetykanej lub haftowanej złotem, srebrem, szklanymi blaszkami. Na szyi, ramionach, kostkach, palcach rąk i nóg — ciężkie, złote i srebrne klejnoty. Cera bronzowo-złota, granatowe włosy, ściągłe, szlachetne rysy, piękne oczy. Kobiety z ludu zamiast jedwabi noszą prześlicznie barwione, ręcznie drukowane perkaliki, klejnoty ze świecącego mosiądzu i miedzi. Każda z nich, nawet stara, nawet brzydka, w glorii indyjskiego słońca wygląda na księżniczkę z Tysiąca i Jednej Nocy.

„Indian Museum“ mieści się w renesansowym pałacu, żywcem przeniesionym z Corso Umberto w Rzymie.

Cały parter i podwórze wewnętrzne zajmuje kolekcja rzeźb ze wszystkich prowincyj Hindostanu.

Ani jednego portretu, ani jednego posągu króla, bohatera: sami bogowie i sčeny z ich życia. Sztuka ściśle dekoracyjno-ekspresjonistyczna. Kształty i proporcje deformowane w celach sugestyjnych: boginie mają niezwyklej wspaniałości piersi, wcięte talje, sze-

rokie biodra, bogowie wojny sześć uzbrojonych w oręż rąk; bóg bogów, Brama, trzy, pięć głów. Wszyscy w ruchu, wśród gmatwaniny symbolów i ozdób. Typy i ruchy, ustalone tysiące lat temu, artyści następnych epok powtarzają prawie bez zmian, talent swój objawiają tylko w doskonałości snycerskiej roboty.

Na pierwszym piętrze przecudna kolekcja hinduskiej sztuki zdobniczej, tkaniny, hafty, ceramika, broń, klejnoty. Ogromne bogactwo motywów dekoracyjnych najwyraźniej różnego pochodzenia.

Motywy aryjskie — ornament roślinny, stylizowany, płaski, rozmieszczony rytmicznie na powierzchni, przypomina niektóre okazy naszego zdobnictwa ludowego, karpackie malowanki, łowickie i kurpiowskie „drzewka“. Motywy czarnych szczepów Indyj południowych „Dravida“, motywy zapożyczone jakgdyby z Egiptu, Assyrii, Grecji, motywy saraceńskie, perskie, chińskie, renesansowe i barokowe.

Wszystkie te różnorodne elementy hinduscy rzemieślnicy przefasonowali na swój sposób, skondensowali. Nikt tak, jak oni, nie potrafi najprostszym ornamentem, paru jaskrawymi kolorami nadać bawełnianej szmacie lub glinianemu garnkowi wygląd wytworny i bogaty.

Hindusi nie są obserwatorami, analitykami, brak im może w sztuce inwencji — mają jednak wyjątkowe uzdolnienia dekoratorskie.



## XXVI. BENARES.

Ekspres do Benares odchodził o 9-ej wieczór. Rozległe, wsparte na żelaznych słupach hale i perony kalkuckiego dworca zalegało ludzkie koczowisko. Liczne familje, komplety haremowe, partje pielgrzymów, robotników, obwarowane tobołkami, paliły nargile, jadły, karmiły dzieci, spały. Huczało, jak w ulu.

Obsługa cała hinduska — tragarze w różowych bluzach, konduktorzy w bieli, żandarmi w amarantowych turbanach, róż fantastycznie poubieranych przekupni z ciastami, owocami, limonjadą, tytoniem. Zrzadka tylko przemknie Anglik, wszytkowidzącym okiem zlustruje porządki, uśmierzy krzykliwe kłótnie, zatargi finansowe.

Przedziały kwadratowe, zajmują całą szerokość wagonu, pod ścianami szerokie, kryte ceratą ławki; na noc podnosi się cztery inne pod sufitem tak, że może spać wygodnie osiem osób. Na środku przedziału i pod ławkami miejsce na bagaż. Dwa silne elektryczne wentylatory. W oknach do wyboru: szyby niebieskie — od słońca, siatkowe — od moskitów, żaluzje — dla przewiewu. Ceny przejazdu niedrogie: bilet drugiej klasy, ekspresem, wpoprzek całych Indyj, z Kalkutty przez Delhi do Bombaju — dwieście kilkadziesiąt złotych.

Noc doskonale przespałem. O świcie konduktor dostarczył do przedziału śniadanie — mocną herbatę, jaja na twardo, grzanki, banany.

Z rzadkimi i krótkimi przystankami pociąg pędzi przez uprawne równiny Bengalu. Właśnie żniwa; bronzowi w białych turbanach i opaskach na biodrach mężczyźni, udrapowane w purpurowe lub fioletowe „sari“ kobiety sierpami sprzątają jęczmień. Mało drzew, wioski z nędznych lepianek, bez drzwi, okien, kominów. Zato wszystkie wieśniaczki połyskują kolekcjami ciężkich bransolet na rękach i nogach.

Koło południa stajemy w Benares. Z wagonów trzeciej klasy wylewa się barwna fala pielgrzymów.

Stacja pobudowana jest parę wiorst od miasta, dzielnica angielska parę wiorst od stacji — ze względów higienicznych: do Benares z pielgrzymami ściągają: cholera, dżuma, trąd.

Stałem w „Hotel de Paris“. W cieniu wielkich drzew, obramiony rabatami kwiatów, długi parterowy budynek. Pośrodku hall i sala restauracyjna, w obu skrzydłach wysokie, przewiewne pokoje z toaletami i łazienkami. Przed całym frontem szeroki ganek pod arkadami, zastawiony bujającymi się fotelami — dla siesty: „very comfortable“. Pokój z utrzymaniem — 12 rupij dziennie.

Zjawił się przewodnik, młody angliczowany Hindus. Bryczuszką z pstrokatym baldachimem, zaprzężoną w białego arabskiego konika, jedziemy zwiedzać święte miasto — Benares.

Woźnica okropnie krzyczy, wymachuje batem, konik ponosi, galopuje w dziwne zygzaki wśród dwukołowych, ciągnionych przez bawoły, wozów cięża-

rowych, omnibusów z pielgrzymami, procesyj, nio-  
sących uwieszone na drągach wielkie kokony — owi-  
nięte w prześcieradła ciała nieboszczyków. Wszyscy  
krzyczą i wymyślają; upał, kurz.

Z obu stron drogi, wśród wielkich drzew, zaro-  
śniętych zielskiem ogrodów, pagody i pałace wymyśl-  
nej architektury, niektóre zupełnie nowe, lśniące po-  
złotą, lakierami, większość w żalostnej ruinie.

Dojeżdżamy do Chauk Bazar, czyli Rynku, za-  
pchanego wrzaskliwym tłumem pielgrzymów i han-  
dlarzy. Dalej jechać nie można, ulice mają metr, pół-  
tora szerokości. Przepychamy się przez zatory go-  
łych, wychudłych postaci, ledwo żywych starców,  
okropnych żebraków, omijamy święte byki Sziwy,  
szare, łagodne stworzenia, chodzące swobodnie po  
mieście. Tknąć je palcem — grzech śmiertelny.

Labirynty świątyń, kaplic, świątych studni, po-  
sągów z białego i czarnego marmuru, czerwonego  
piaskowca, złotych, srebrzonych, malowanych na  
czerwono, zielono, niebiesko. Do środka świątyń nie-  
wiernemu wejść nie wolno. Przez szeroko otwarte  
pódwoje widać pod złotymi baldachimami wielkie lin-  
gamy (fallusy), bogi słońcogłowe, kilkogłowe, kilko-  
rękie. Wierni obojga płci wieńczą je kwiatami, zle-  
wają olejkami, świętą wodą z Gangesu. Bramini wy-  
śpiewują inkantacje, zbierają ofiary.

Rozmiary świątyń niewielkie — najslawniejsza  
„złota świątynia“ Visveshvary mogłaby się zmieścić  
w każdym z warszawskich kościołów; bardzo boga-



to zdobione — ściany cięte, rżnięte, drażone, w kolumienki, fryzy, festony; dachy, daszki, daszeczki, obite złożoną blachą. Budynki tak stłoczone, że widać tylko detale.

Wreszcie z lepiących się od brudu uliczek, z zaduchu kadzideł i ludzkich wyziewów, przewodnik wyprowadził nad szerokie, spokojne wody Gangesu.

Lódką płyniemy w górę rzeki.

Brzeg szczelnie zabudowany wysoką ścianą pałaców i świątyń. W zachodzącym słońcu, jak słońca, błyszczą złote, strzeliste mitry wież i dachów. Dużo ruin, całe połacie murów obsunęły się w rzekę. Co paręset metrów szerokie schody; nad samą wodą, na tarasach rozpięte wielkie słomiane parasole, kolorowe grupy piorących bieliznę, czerpiących wodę. W wodzie brodzą nadzy mężczyźni, owinięte w sari kobiety.

Na zasypanym zgliszczami placyku kilka palących się stosów.

Słońce właśnie zaszło, nagle poczerniała szarpna linja wież i kopuł.

Czarne nagie postacie długimi żerdziami podtykają drwa pod pełgające pomarańczowemi płomykami trupy. Czarno-białym wiankiem siedzą w kuczki rodziny zmarłych, bez ruchu, bez słowa. Jako tło, popękane, sypiące się do wody rude ściany pałaców, zrujnowane świątynki z pozatykanymi słomą oknami. Pod cudnie rzeźbionym portykiem

bodą się dwa siwe byczki boga Sziwy. Wieczorny podmuch rozwleka po Gangesie tłusty dym i swąd.

Wróciłem do hotelu. Nocą śniły mi się djabły.

Cały następny dzień błądziłem samotnie po zadziwiająco malowniczych i ohydnych zaułkach „najstarszego i najświętszego miasta świata“.

Podług wierzeń braminów, Wisznu z prakosmicznego chaosu wyłonił najprzód lingam (fallus), następnie dopiero koło tego lingamu uformował wszechświat. Na czubku lingamu założył Benares. Wisznu jest czczony pod postacią lingamu.

Hindusi wierzą, że kąpiel w omywających Benares wodach Gangesu zmazuje wszelkie grzechy, lecz wszystkie choroby; umierający w Benares jest zwolony od powtórnego wcielenia, zespala się z Bramą. Spalenie ciała w Benares także daje odpuszczenie grzechów.

Kogokolwiek stać na to, funduje w Benares świątynie, klasztory, kaplice. Radzowie, bogacze budują tu pałace na swoje stare lata. Zjeżdżają się chorzy, umierający z całego Hindustanu, pobożni spadkobiercy zwożą ciała rodziców. Ściągają chmary żebraków, fakirów, ascetów.

Publiczność z tego robi się zupełnie przerażająca — straszne kościotrupy, owrzodzeni, rozdęci, ślepi, z pokręconymi nogami, rękoma. Na trotuarach, na schodach świątyń leżą wychudłe postacie — niewiędmo, czy śpią, czy już nieżywi. Asceci siedzą bez ruchu dwadzieścia lat, trzymając w górę podniesioną rękę

kę, aż uschnie, obrośnięci, brudni. Fanatycy smarują sobie twarz kałem świętych byków, piją ich odchody. Ciągłe przechodzą pogrzeby — na przedzie tragarze niosą trupa, uwiązanego do bambusowego drąga — za nimi długi ogonek mężczyzn niemytych, niestrzyżonych: każdy niesie kawałek drewna, wiązkę słomy, koszyk z suszonym krowim kałem — na stos dla krewniaka.

Wszyscy zebrzą. Wszędzie lingamy — w świątyniach, na rogach ulic, jako „pamiętki“, „articles de Benares“ po sklepach. W świątyniach pornograficzne rzeźby. Święte byki, święte małpy, święte prostytutki.

„Światło ze wschodu“.

Braminizm — źródło wszelkich teozofji, mistycznych wtajemniczeń, bajań o wielkich jogach, zbawicielach świata.

Benares — serce braminizmu, stolica: brud, smród, najdziksze przesady, najdziksze praktyki. Kult Szatana nie mógłby inaczej wyglądać.

„Jeżeli jest gdzie piekło na ziemi, to jest ono tutaj, tutaj, tutaj“.

## XXVII. AGRA.

W Indiach najlepiej podróżować nocą — chłodniej.

Wyjechałem z Benares późnym wieczorem, na jutro około dwunastej w południe byłem w Agrze. Stałem w „Hotel Metropol“. Rodzony brat „Hôtel



de Paris“, także w ogrodzie, także parterowy, także z arkadami, ale zarząd hinduski — porządki szwan-kują.

Zaraz po lunchu, bryczuszką z baldachimem, w arabskiego konika, pogalopowałem obejrzeć „najpiękniejszy grobowiec świata“ — Taj Mahal. Został zbudowany w połowie XVII wieku przez Szacha Jahana, piątego z dynastji Wielkich Mogołów cesarza Indyj, dla najukochańszej z żon, Muntez-i-Mahal (Cudo Pałacu).

Droga prowadzi koło „Fortu“, wysokich, zębatych baszt i barbakanów z czerwonego piaskowca, potem wzdłuż piaszczystych mielizn rzeki Jumny. Na rozpalonych płowych skałach i piaskach wyrasta wielki czworobok amarantowo-rudych murów, wysokie kopuły i minarety koloru kości słoniowej.

Pierwsza brama, obszerny, otoczony arkadami dziedziniec.

Druga brama, bardzo wysoka, sklepiona, wielkie okute wierzeje.

Ze spiekoty, kurzu siwy brodacz w turbanie uroczyście wprowadza do zaiste rajskiego ogrodu. Zupełny spokój, wilgotne powietrze, nasyczone zapachami. Lśniące wody, marmurowe fontanny, kwiaty, zielone gazony, cieniste drzewa. Od wejścia srebrna wstęga kanału, obramiona dwiema alejami czarnych cyprysów, prowadzi ku zadziwiającej budowli z białego marmuru.

Kwadratowy taras, po czterech rogach śmigłe

minarety, pośrodku ośmiokątne, olbrzymie cacko: świątynia-grobowiec. Akordy linii poziomych i pionowych, prostych i elips, zdobionych płaszczyzn, głębokich wnęk, balkonów, śpiczastych kopuł.

Wewnątrz wysoka, mroczna kaplica z białego marmuru; za ośmiokątną balustradą z marmurowej koronki dwa marmurowe, ozdobione kwietną intarsją, sarkofagi — Muntaz-i-Mahal, Szach Jahana. Spokój, dzwoniąca cisza.

Jako warta honorowa, o kilkadziesiąt metrów stoją frontem do grobowca dwa wielkie meczety z czerwonego i białego marmuru, surowej, uroczystej architektury.

Prostokąty kanałów i gazonów w szerokich ramach z szarego kamienia, proste, szerokie ulice, wyłożone szarym kamieniem, geometryczne wykresy klombów, wspaniałe, ciemnozielone, kopulaste drzewa, każdy detal poważny, uroczysty, podkreślają niebiański wdzięk grobowca. Na tle nieba mieni się, lśni wszystkimi odcieniami złocistej bieli, w cieniach błękitno-siwy, liljowy. Ściany ożywia arabska intarsja, kształty podkreślają dyskretne złocenia. Nadzwyczajna czystość profilów, delikatność ornamentów. Czas cudnie spatynował kolory, złagodził kontury.

Zachodzące słońce, zmierzch, noc... Wciąż nowe gry subtelnych odcieni. Opary słodkiej melancholji...

Podług podania, Taj-Mahal projektowali — Włoch, Turek, Pers, Hindus i Francuz. Przy budowie pracowało 20.000 robotników przez lat 18.

Anglicy doskonale konserwują to arcydzieło sztuki Wielkich Mogołów.

Była piękna, gwiazdzista noc, do hotelu kilka wiorst, szosą prosto do Fortu, potem pierwsza droga na lewo. Rozmarzony, wzgardziłem propozycjami drożkarzy, poszedłem pieszo.

Do Fortu trafiłem, dalej — zbłądziłem. Droga się urywa—skaliste pustkowie, ruiny. Zupełnie ciemno, straciłem kierunek. Napotykam się na rozłożony w zagłębieniu ogieniek, parę półnagich figur. Pytam — brnę dalej. Ciemno, dziury, skały.

Błądziłem dobre kilka godzin, wreszcie napotkałem patrol policyjny — wskazali mi drogę do hotelu. Zaraz za górką. Kręciłem się wokółko po starem cmentarzysku, pełnem podobno strzyg i upiórów. Jakoś mi krzywdy nie zrobiły — białego w Indjach nawet złe duchy szanują.

Oprócz Taj-Mahalu, w Agrze i okolicy jest wiele innych bardzo pięknych zabytków architektonicznych z czasów panowania Wielkich Mogołów.

Grobowiec Akbara, Sikanderach, Fatehpur Sikri, Opuszczone Miasto, pałace, meczety, ogrody.

Olbrzymią cytadelę w Agrze założył Akbar w 1565 roku. Z jego budowli dochowały się zewnętrzne mury, wewnątrz pałace i haremy z czerwonego piaskowca, w persko-hinduskim, poważnym stylu. Budowle z białego marmuru, przecudne meczety, pawilony, fontanny, altany, ozdobione intarsją z drogich kamieni, złotymi i srebrnymi okuciami, powzno-



sił Szach Jahan. Rujnował całe Indje. Wreszcie sprzykrzyło się to poddanym, pod wodzą pięciu jego synów podnieśli bunt. Szach Jahan kapitulował, na resztę życia został uwięziony we własnym haremie (2.000 kobiet).

Oczywiście złoto, srebro, drogie kamienie dawno znikły, ale naogół budowle wewnątrz fortu znajdują się w dobrym stanie. W takiej, przedziwnego wykwintu, Wieży Jaśminowej, rozłożyć parę dywanów — parę poduszek — Szeherezada mogłaby zamieszkać.

Skarżą się u nas w Polsce na natręctwo służby hotelowej wobec wyjeżdżających gości. Nic to w porównaniu z Indjami: kiedy wyjeżdżałem z hotelu Metropol, wyrósł szpaler wspaniałych, białoubranych, brodatych i turbaniastych mężów. Informowałem się o ich dostojenstwa i urzędy.

Był, oczywiście, portjer — i pomocnik portjera, boy — i pomocnik boya, służący od czyszczenia trzewików, sprzątania pokoju, wnoszenia i wynoszenia walizek, specjalista od przynoszenia porannej herbaty, dwóch od lunchu i obiadu, specjaliści od nalewania kawy czarnej, soda and whisky. Przyszli także — (kanalizacji w hotelu nie było) — nosiwoda, czyściciel ustępów, ogrodnik.

Dziękowałem Allahowi, że nie zjawili się po napiwek murarze, dekarze, szklarze — przecież z ich pracy także korzystałem.

## XXVIII. DELHI.

Agra była stolicą Indyj przez lat kilkadziesiąt, Delhi od czasów przedhistorycznych. Tu panowali bohaterowie Mahabharaty, boski Ardżuna i jego czterej bracia z roku Pandawów, długi szereg bramińskich dynastyj Radżputów.

W roku 1153 zdobywają Delhi muzułmanie. Od tej daty Hindusi nigdy nie potrafili odzyskać niepodległości: panami Indyj byli najeźdźcy z poza Himalajów, Turkmeni, Afganowie, Mongoli; w roku 1857 zdobywają Delhi Anglicy.

Miasto samo i jego okolice w promieniu kilkudziesięciu kilometrów zasiane są ruinami zamków, pałaców, meczetów, grobowców, opuszczonych dzielnic. Dokładne obejrzenie tych nadzwyczaj ciekawych zabytków architektonicznych z różnych epok zajęłoby kilka tygodni czasu. Rozporządzałem tylko paru dniami, zdążyłem jedynie zwiedzić budowle Wielkich Mogołów, niegdyś najbogatszych monarchów świata.

Na jednym z pałaców ich rezydencji napis głosi: jeżeli jest gdzie Raj na ziemi, to jest on tutaj, tutaj, tutaj.

Delhi wielokrotnie było zdobywane, bombardowane, rabowane, to co zostało, świadczy o zupełnej słuszności tego dumnego napisu.

W wysokich, obronnych murach z czerwonego piaskowca ostrołukowa brama. Długa gotycka nawakorytarz prowadzi na dziedziniec - majdan, rozmia-

rów Placu Saskiego, otoczony z czterech stron wysokimi podcieniami. Naprzeciw głównego wejścia smukła, biała kolumnada obszernego pawilonu, w głębi rzeźbiony w marmurze balkon z baldachimem, zdobiony intarsją z porfiru, agatu, lapis lazuli. Tu ukazywał się zgromadzonym na majdanie tłumom „Cień Boga“ — cesarz Indyj.

Za pierwszym dziedzińcem drugi, mniejszy, wyłożony marmurem i zabudowany marmurowymi pawilonami ze złożonymi dachami. W środkowym była sala audjencyj, ze ścianami zdobionymi mozaiką z drogich kamieni, sufitem kutym ze złota i srebra. Tutaj, na marmurowym podjum, stał słynny „Tron Pawi“, cały wysadzany rubinami, szmaragdami, brylantami (wartości 300.000.000 zł.). Obok prywatne apartamenty cesarza, trzy szkatułki-pokoiki wyłożone marmurem i drogocennymi intarsjami. W ścianach szeregi małych nisz — dla wazonów z kwiatami i lamp oliwnych. Żadnych mebli. Rozesłane na podłodze materace i dywany służyły do spania. Wielkie tace zastępowały stoły, poduszki — krzesła i fotele. Z jednej strony prywatnych apartamentów kąpiele i łaźnie, cały szereg marmurowych sal różnych rozmiarów i przeznaczeń, z drugiej — harem, labirynt ogródków, dziedzińców i altan, budynków gospodarczych, wszystko z białego marmuru, ozdobionego intarsjami, złoceniami. Pokoje mieszkalne bardzo małe i niskie, korytarze bardzo wąskie, schody strome. Wszędzie bieżąca woda, stawy, kanały, cysterny, fon-



tanny. Przez salę audjencyj przepływał „Rajski Strumień“ wody różanej.

Proporcje budowli wytworne, lekkie. Ornament roślinny, motywy identyczne, jak na naszych pasach słuckich.

Ten cudny biało-złoty świat ożywiały klomby kwiatów, barwni, jak kwiaty, dworacy, najpiękniejsze tkaniny Azji, najpiękniejsze kobiety Indyj, wschodnie pachnidła, wschodnia muzyka. Cóż Mahomet może dać więcej swoim wybrańcom z Raju!

Paręset metrów od pałacu wznosi się olbrzymi czworobok czerwonych murów i kolumnad, białych wież i kopuł — meczet Jama Masdij. Kamienne, bardzo szerokie schody prowadzą do kwadratowego gma-szyska z wielką wnęką pośrodku. We wnęce mniejsza wnęka — brama wejściowa. Rozległy, czworokątny taras, otoczony ażurową kolumnadą, pośrodku cyster-na dla ablucyj; ze strony zachodniej, strony Mekki, między dwoma minaretami płaski fronton, z rytmicz-nie rozmieszczonemi arkadami. Wewnątrz, pod trze-ma kopułami, kazalnica; na gładkich marmurowych ścianach i smukłych pilastrach wypisane sentencje z Koranu. Niema rzeźb, ani ołtarzy — wzniosła pro-stota.

Był właśnie Nowy Rok muzułmański, wielu wiernych w strojach świątecznych. Mężczyźni w jedwabnych, złotem i srebrem przetykanych, malino-wych, morelowych, pistacjowych żupanach i turba-nach, kobiety w muślinowych sari, kolorowych aksa-

mitnych i jedwabnych staniczkach i szarawarach, oblepione klejnotami.

W słońcu, na tle rudych kamieni, tłum mienił się, jak roje motyli, jak bukiety kwiatów... żadne porównanie nie daje pojęcia o świetności tego widowiska.

Bardzo malownicze są stare dzielnice Delhi. Uliczki trochę szersze i trochę czystsze, niż w Benares, zabudowane pałacami i domami precudnej persko-hinduskiej architektury. Frontony pokrywają koronkowe płaskorzeźby, odrzwia i okna wymyślnie rzeźbione; kolumnienki, wykusze, podcienia. W ciemnych norach sklepów stosy klejnotów, złotogłowi, złotych i srebrnych haftów. Bajkowe stroje, nadzy żebracy, siwe arabskie koniki, w uprzężach świecących, brzęczących, karawany osiołków.

Orientaliści, romantycy wszystkich krajów — przyjeżdżajcie, póki czas. Ujrzycie na każdym podwórku, w każdym zaułku — żywe ilustracje, obrazy z Tysiąca Nocy i Jednej.

Temu lat kilkanaście Anglicy zdecydowali przenieść oficjalną stolicę Indyj z Kalkutty do Delhi. Na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych, obok starego, zakładają Nowe Delhi. Pobudowali już olbrzymie gmachy głównego zarządu i ministerstw, parlament, pocztę, koszary, mieszkania dla urzędników, pałac dla wicekróla. Pierwsza serja budowli projektowana w czystym stylu klasycznym. — Białe,

dorydzkie kolumnady i proste frontony pięknie harmonizują z błękitnem niebem, ciemną zielenią Indyj.

Ostatnio skusił widocznie architektów szatan regionalizmu, gdyż najnowsze budowle wznoszą w kogel-mogel stylu renesansowego i wielko-mogolskiego. Korynckie kapitele zamiast lekkim akantem, zdobią głowami słoni; attyki urozmaicają altaneczkami, minarecikami. Ale to są detale. Zato: ulice szerokie, proste, asfaltowane, wielkie perspektywy, gazony, kanały, mnóstwo — lasy — posadzonych drzew. Trudno jeszcze zorjentować się, jaki będzie bilans estetyczny. Rozmach i śmiałość przedsięwzięcia — niezwykle. Przenosić stolicę, jak wóz z meblami, na skalistym pustkowiu wyczarowywać olbrzymie, luksusowo urządzone miasto-ogród — tego nawet w Ameryce nie potrafią.

Panowie Anglicy, hip, hip, hurra!

## XXIX. BOMBAJ.

Z Delhi do Bombaju kawał drogi, 960 mil angielskich. Jedzie się noc, dzień i noc, przez spalone w tej porze roku na pieprz pastwiska, zakurzone plantacje bawełny, rżyska jęczmienia, poprzez łańcuchy nagich szczytów, piaszczyste łożyska rzek, półwyschłe gęstwiny - dżungle, na wyschłych moczarach. Wioski z glinianych lepianek, zrzadka ruiny pagody lub zamku, stłoczone domy, labirynty wąskich uliczek hinduskiego miasta.



Jedynym radosnym akordem w płowo-rudym pejzażu są purpura, czerwień i fiolet strojów kobiecych, połyski ich złotych i srebrnych klejnotów.

Dworce utrzymane porządnie, ustrojone kwiatami; koło każdego dworca grupa domków dla urzędników: solidnie pobudowane, czyste, wyróżniają się zaszczytnie wśród pretensjonalnych rumowisk bogatych autochtonów.

Cała obsługa kolejowa hinduska. Anglików prawie nie widać; jedynie od czasu do czasu uważnie lustruje porządki ogorzały dżentelmen w korkowym kasku, sportowej koszulce bez rękawów, sportowych krótkich spodeńkach, grubych wełnianych pończochach, (od ukąszenia grzechotników), solidnych sportowych trzewikach.

Na stacjach roznoszą wodę sodową z lodem, mocną herbatę, owoce, pieprzne hinduskie ciasteczka, pierożki. Jedzenie w wagonie restauracyjnym dobre i niedrogie.

W trzeciej klasie tłumy, w drugiej dosyć luźno, nocą można było się wyciągnąć. Dokuczał tylko upał i kurz, przenikający przez zamknięte drzwi i okna.

W Bombaju stanąłem w hotelu „Majestic“. Wewnątrz — Ameryka, łazienka przy numerze, zimna i gorąca woda, wentylatory elektryczne; zewnątrz — romantyczny wschód, minareciki, ostrołuki, kopułki.

Bombaj jest upstrzony całą serją olbrzymich czupiradeł, dworców, urzędów, hoteli, pałaców w stylu romańsko-gotycko-saraceńsko-mongolskim.; ma sze-

rokie ulice z błogosławionemi w tutejszym klimacie podcieniami, piękne parki, bulwary, place sportowe.

W dzielnicy handlowej kilometry kramów i warsztatów z prześlicznymi wyrobami hinduskich rzemieślników.

Krwawe łzy wylewają europejscy esteci nad upadkiem rękodzieł artystycznych, siódme poty wyciskają, aby je wskrzesić.

W Indjach, jak temu lat tysiąc, każdy garnek do gotowania wody zdobiony jest ręcznym ornamentem. Stroje hinduskich kobiet ręcznie są tkane, haftowane, drukowane drewnianym stemplem w odwieczne motywy. Współcześnie kute klejnoty niczem się nie różnią od wykopalisk epoki buddyjskiej.

Taki sam konserwatyzm okazują Hindusi we wszystkich innych swoich pracach. Przejechałem Indje w poprzek podczas żniw — nie widziałem w użyciu ani jednej kosi, ani jednej żniwiarki. Wieśniacy powiadają: — „Dobre były sierpy dla naszych ojców, nam też wystarczą“.

Anglicy pozakładali mnóstwo szkół zawodowych — po ich ukończeniu hindusi ślicznie dyskutują o postępie, demokracji, lecz w produkcji nadal stosują prymitywne narzędzia i metody. Niewiele lepsze rezultaty daje wyższe wykształcenie, dłuższy pobyt w Anglii.

Taki kawowy doktor filozofji czy prawnik pisuje liberalne artykuły do dzienników, ale plami go cień człowieka niższej kasty, wydaje zamąż pięcioletnią có-

reczkę, zmazuje grzechy kąpielą w Gangesie, wieńczy Święty Lingam i Świętego Byka Sziwy.

Uczciwość, prawdomówność, wytrwałość — są to podobno rzadkie cnoty w Hindustanie.

Anglicy zawdzięczają zdobycie Indyj i możliwość panowania w nich nie sile, ale wyższej, chrześcijańskorycerskiej etyce. Kilkanaście tysięcy białych urzędników, 60 tysięcy białych żołnierzy utrzymuje w posłuszeństwie 250 milionów autochtonów — tylko dlatego, że każdy Hindus w głębi serca bardziej ufa Anglikowi, niż własnemu rodakowi.

W Bombaju mieszka rasa jakby pośrednia między europejczykami a Hindusami—parsowie. Po zdobyciu Persji przez muzułmanów pewna ilość czcicieli ognia wyemigrowała do Indyj. Dotąd zachowali przepisy religji Zoroastra, umarłych oddają sępom na pożarcie ( Wieże Milczenia). Parsowie trzymają z Anglikami, zajmują się handlem, dorobili się znacznych majątków.

Pomimo, że są krwi aryjskiej, dziwnie przypominają naszych żydów — wysmarowanych jodyną. Mężczyźni noszą czarne chałaty, na głowie ceratowe szkopki, kobiety ubierają się pół po europejsku, pół po hindusku. Ni to rak, ni to ryba, ni to ryba, ni to rak.

Niższe klasy w Bombaju skórę mają czarną, delikatne rysy, piękne oczy. Mężczyźni półnago, jedynym strojem kobiet z ludu jest długie sari, owinięte koło bioder i stanu. W nosie kółko złote, na rękach



i nogach po kilkanaście funtów dzwoniących bransolet.

W muzeum bombajskim Anglicy zebrali piękną kolekcję malarstwa hinduskiego.

Najdawniejsze, jak dotąd odszukane, freski w Ajanta pochodzą z pierwszych wieków naszej ery. Przedstawiają sceny z buddyjskich legend. Ruchy, typy, kostjumy, bystro zaobserwowane, koloryt jasny, modelunek lekki, podkreślony cienkiem konturowaniem. Sposób stylizacji wyraźnie przypomina malatury na białych greckich wazach „lecytach“.

Ta wysoko stojąca szkoła malarstwa zanika wraz z buddyzmem. Zdobywcy mogolscy sprowadzają artystów z poza Himalajów, na ich dworach rozwija się tak zwana szkoła persko-hinduska. Początkowo ma ona wszystkie zalety minjatur perskich — wytworny koloryt, subtelny rysunek. Wkrótce jakby kostnieje, pozostają się konwencjonalne, barwy jaskrawe, przeważają cynober, złoto. Jak we wszystkich innych hinduskich sztukach, pogoń za efektem dekoracyjnym i rutyna rzemieślnicza zabijają wszelką pomysłowość.

Prace współczesnych malarzy hinduskich — są to albo słabe imitacje różnych angielskich artystów XIX wieku, albo secesjonizowane przeróbki fresków z Ajanta i persko-hinduskich minjatur.

### XXX. Z BOMBAJU DO PORT SAIDU.

W końcu marca rozpoczyna się w Indjach okres najgorszych upałów. Kto może — wyjeżdża do Anglii.

Lekkomyślnie nie zarezerwowałem sobie miejsca na odchodzących do Europy okrętach — obszedłem biura ważniejszych linii: kajuty zajęte. Wreszcie udało mi się, okazjnie, uzyskać bilet drugiej klasy do Port Saidu na niedużym i nienowym parowcu „City of Simla“.

Byłem przygotowany na niewygodę, kiepskie towarzystwo i jedzenie. Tymczasem spędziłem na tym starym gracie dwanaście czarujących dni. Pasażerami drugiej klasy byli urzędnicy i oficerowie angielscy niższych stopni, ludzie młodzi, wykształceni, przytem jadący na urlop, więc w doskonałych humorach. Wszystkie lokale czyste, dobrze przewietrzone, jedzenie angielsko-hinduskie, dostosowane do klimatu i smaczne, obsługa hinduska uprzedzająco usłużna.

W kajucie rozmiarów dwu i pół metrów na dwa metry mieszkało nas czterech — naczelnik stacji kolejowej z Bengalu, lotnik z Beludżystanu, komisarz policji z Pendżabu — i ja, jedyny na całym statku nie Anglik. Ubierać się, myć, rozbierać, trzeba było po kolei.

Dla każdego pasażera była codziennie przygotowana w łazience kąpiel z morskiej wody.

Dni całe spędzało się na pokładzie, pod rozpiętym namiotem z płótna, sportując, drzemiąc w leżakach, czytając romanse z okrętowej biblioteki.

Zorganizował się odrazu komitet sportowy: od wczesnego poranka do zmierzchu pokładowi tenisiści rzucali i łapali nałęczą z liny, pokładowi bilardziści su-

wali drewnianemi szuflami drewniane krążki, dysko-bole rzucali do celu skórzane, płaskie, wypełnione piaskiem woreczki. Mecze, konkursy, rozgrywki: pływająca Olimpijada.

Między szóstą a siódmą wieczór ogólne przebie-  
ranie — do obiadu panowie obowiązkowo w smokin-  
gach, panie wydekoltowane. Po obiedzie dancing, dłu-  
gie pogawędki przy soda and whisky.

Nie można powiedzieć, aby Anglicy byli dobrze  
poinformowani o sprawach polskich — wiedzą o nas  
mniej więcej tyle — ile my o Syjamie. Wiedzą, że sto-  
licą Polski jest Warsaw (wymawiają „Łorso“), że  
Piłsudski pobił bolszewików i obecnie Polską rządzi.  
I kropka. Dopytywali się, po jakiemu mówimy, po nie-  
miecku, czy po rosyjsku.

Losy Europy wogóle mało Anglików obchodzą,  
ich zainteresowania obracają się w granicach własne-  
go imperjum. Trzeba przyznać, że jest o czem myśleć.

Niepodległościowców hinduskich uważają za wiel-  
kie dzieci, bawiące się frazesami francuskich i rosyj-  
skich rewolucyj; „Ghandi—spóźniony uczeń Ruskina,  
w epoce maszynizmu propagujący powrót do koło-  
wrotka“.

„Anglicy elektryfikują i irygują Indje; Anglicy  
wygrzebują z zapomnienia hinduskie arcydzieła lite-  
rackie, zabytki kultury bramańskiej i buddyjskiej;  
nawet nowego boga Indjom zafundowała stara angiel-  
ska panna“ (Annie Bessant — Krisznamurti).

Najtrudniejszym do rozwiązania problematem



współczesnych Indyj jest przeludnienie i wynikająca z tego nędza. Za panowania Wielkich Mogolów rzezie, epidemie, głody dziesiątkowały ludność, Anglicy opanowali te klęski: w rezultacie niewiadomo, co robić z kilkomiljonowym rocznym przyrostem. Rząd osusza moczary, nawadnia pustynie — wszystko to są paljatywy.

W Bombaju było bardzo gorąco: i we dnie i w nocy przeszło 40 stopni Réaumura. Przez całą drogę do Adenu ochładzały powietrze rozkoszne zefiry. Morze Czerwone pierwsze dwa dni urządzało nam turecką łaźnię, potem przyszedł silny północny wiatr, rozprężeni w Indjach Anglicy szczękali zębami.

Do Portu Suezu dobiliśmy około dwunastej w nocy, mimo to na pokład statku wdarły się szajki namolnych przekupni z paciorkami, sfinksami, skarabeuszami i tym podobnymi pamiątkami z Egiptu.

Rankiem w długim ogonku okrętów wpłynęliśmy do Kanału - rowu, szerokości kilkudziesięciu metrów, przekopanego przez płaskie, piaszczyste pustkowia. Równoległe do Kanału biegnie linja kolejowa i szosa. Co kilkanaście kilometrów stacyjka—studnia artezyjska — i żywe obrazy na tematy biblijne. „Obóz Abrahama“ — pod płóciennym namiotem poważnie zasiada siwy patriarcha w burnusie, posługują mu stara Sara i niewolnica Agara, nagie dzieciaki igrają kamykami, parę wielbłądów pasie się mirażem trawy; „Ucieczka do Egiptu“ — w cieniu osiołka spoczywa owinięta w błękitne płachty kobieta z dzieckiem u pier-

si, czuwa brodaty mąż z długim koszturem w ręku. Czasami przemknie pociąg, luksusowy samochód.

Statki posuwają się powoli, kilka kilometrów na godzinę.

Wreszcie ponad żółtymi piaskami pustyni, poniżej sino-fioletowego nieboskłonu ukazuje się smuga czystego błękitu, usiana białemi, kształtu jaskółczych skrzydeł żaglami. Morze Śródziemne.

Cysterny, fabryki, doki, szeregi gmachów z cegły i kamienia. Port Said.

### XXXI. KAIR.

W Stanach Zjednoczonych bandytyzm i szantaż uprawiają zawodowcy, ogół ludności jest purytańsko uczciwy. W portach Japonji i Chin podziwiałem rzetelność półgołych riksów i tragarzy. Hindusi chętnie nabierają białych, trzymani są w ryzach przez Anglików.

Takiego złodziejstwa, jak w Egipcie, nie spotkałem na kuli ziemskiej — nigdzie.

Rozpoczęli serję przewoźnicy: za przewiezienie ze statku do urzędu celnego w Port-Saidzie należało się od osoby po dwa szylingi — zażądali po osiem (nie dostali). Przy rewizji sanitarnej orznęła mnie na parę szylingów spółka doktor — policjant. Przy rewizji bagażowej ściągnięto opłaty celnej kilka szylingów, wystawiono kwitek na parę piastrow (piastr egipski— 50 groszy). Tak ciągle i wszędzie. Dorożkarz, tragarz,

bileter, przekupień kolejowy — każdy coś urwał, nie dopłacił reszty, wsunął fałszywy pieniądz.

W Kairze stanąłem w „Hotel Metropol“. Pokój z całodziennem utrzymaniem sto piastrow. Czysto, jeźdzenie dobre. Zarząd szwajcarski, cała służba z Nubji, murzyńska (uczciwsi), ukostjumowana w błękitne szarawary i kurteczki, obficie ozdobione złotem galonami, czerwone pasy i fezy, papucie.

Autochtoni ubierają się brzydko — w długie do kostek luźne, białe lub niebieskie koszule; kobiety całe w czerni, krój sukien półeuropejski, wszystkie gęściej lub rzadziej zawoalowane.

Ludność wiejska, fellahowie, zachowali dotąd typ staroegipski. Podobno są pracowici, cisi i zupełnie bez inicjatywy — idealni poddani.

Kair zamieszkuje dziwaczny zlepek elementów arabskich, greckich, żydowskich i europejskich, dosyć jasnej cery. Wśród urzędników, oficerów, wyższych policjantów zdarzają się blondyni z niebieskimi oczami. Wśród żołnierzy i szeregowców policjantów dużo murzynów.

Król egipski jest pochodzenia macedońskiego.

Egipt uważa sam siebie za państwo niepodległe: w kairskiej cytadeli stoi angielska załoga, po ulicach stolicy krążą patrole pieszych i konnych gentlemanów w mundurach Jego Brytyjskiej Mości.

Nowe dzielnice Kairu przypominają eleganckie miasta francuskiej Rivieri, Niceę, Mentonę. Są nawet filje paryskich magazynów, różne Folies Bergè-



ry, Chat Noiry. Przeważają europejskie stroje, język angielski i francuski.

Wszystko na świecie jest względne — słynny z malowniczości stary Kair arabski po miastach Indyj wydał mi się trochę szary. Niechlujnością ulic, oplakanem zaniedbaniem świątyń i pałaców rywalizuje z Benares.

Wschodnim obyczajem każdy zawód skoncentrowany jest w odrębnej dzielnicy: dzielnice złotników, garncarzy, szewców i t. d. W labiryncie ciasnych i brudnych uliczek, między rzeźnikami a fryzjerami od wieków ulokowana jest dzielnica domów publicznych. Utlenione damy o rysach nalewkowskich, bardzo obfitych kształtach, w kostjumach kąpielowych lub szlafroczkach siedzą we drzwiach sklepików, zapraszają przechodniów. Na głównych ulicach napastrują roje kupczyków, sprzedających „egipskie naszyjniki“, fabrykowane w Czechach, wschodnie dywany i tkaniny — z Berlina, fezy — polskiej, bielskiej fabrykacji. Ciż sami przekupnie za skromną opłatę proponują wdzięki żon i córek, ewentualnie własne.

Takiego rajfurstwa, jak w Egipcie, nie spotkałem na kuli ziemskiej — nigdzie.

Francuscy i angielscy uczeni zorganizowali w Kairze dwa wspaniałe muzea: „Muzeum Starożytności Egipskich“ i „Muzeum Arabskie“.

W Muzeum Egipskiem całe skrzydło zajmują wykopaliska z grobowca Tutenhamena. Te cuda rzeźbiarzy i rzemieślników z przed 3000 lat wykonane są

z nadzwyczajną sprawnością techniczną, świetne i absolutnie świeże w kolorze, w doskonałym stanie konserwacji.

Sztuka egipska miała swoich prymitywów, okresy rozwoju, upadku. Jak u nas. Wśród zdawkowych malatur i rzeźb wyróżniają się prace genialnych i twórczych artystów. Skala tematów bardzo rozległa: realistyczne portrety, sceny rodzajowe, historyczne, idealizacje bóstw i faraonów. Różne style i ujęcia dekoracyjne i naracyjne. Zawsze monumentalna, zwięzła, męska.

Sztuka arabska zupełnie jest odmienna, jakby kobieca. Wytworne, delikatne proporcje, koronkowy drobny ornament. Wdzięk, liryzm.

Śladów twórczości artystycznej współczesnych egipcjan nie udało mi się odszukać.

Oczywiście byłem z wizytą u Sfinksa i Piramid. Olbrzymie, czyste, zdecydowane w liniach trójkąty imponująco, wspaniale dominują wśród skalistych pustkowi.

Wewnątrz piramid wąskie korytarze i schodki, małe, puste salki, ciemno, ponuro.

Sfinks obecnie został kompletnie odkopany. Między jego łapami znaleziono ruiny świątyni.

Prawdopodobnie dawniej olbrzymia głowa, tajemniczo wyzierająca z piasków, wywoływała silniejsze, bardziej sfinksowe nastroje.

Ciężką plagą zwiedzających są przewodnicy,

sprzedawcy wykopalisk, żebracy. Niema sposobu od nich się odczepić, gdyż policja jest w zмовie.

Takiego natręctwa, jak w Egipcie, nie spotkałem na kuli ziemskiej — nigdzie.

Czwartą plagą egipską są tumany ostrego, wszędzie przenikającego piasku. Wszyscy tu na oczy chorują.

Jak wiadomo, plag egipskich jest dziesięć:

1) złodziejstwo, 2) rajfurstwo, 3) żebractwo, 4) kurz — dalszych nie zdążyłem poznać — wyjechałem.

Pociąg z Kairu do Aleksandrji spóźnił się o parę godzin. Wynił z tego szalony zamęt przy wsiadaniu na statek. Ex re przybijania różnych policyjnych i sanitarnych stempelków, urzędnicy egipscy znowuż zwędzili kilkadziesiąt piastrów.

## XXXII. POWRÓT.

Siedem statków wozilo mnie naokoło świata: trzy amerykańskie, jeden francuski, dwa angielskie, na zakończenie przewiózł mnie z Aleksandrji do Wenecji statek włoski, linji „Lloyd Triestino“, chyba najmilszy ze wszystkich. Czystość na nim była równie pedantyczna, jak na amerykańskich i angielskich, kuchnia równie dobra, jak na francuskim — ale ponadto łaćński smak w urządzeniu wnętrza, mnóstwo kwiatów, szybka i wesola włoska obsługa.

Ceny wygórowane: trzydniowa podróż z Egiptu



kosztuje tyleż, co przejazd z Cherbourga do Nowego Jorku.

Na morzu Śródziemnem czułem się już jakby w domu. Niebo bledsze, znajome kształty chmur, znajome gwiazdy nocą, znajome nazwy mijanych brzegów — Kreta, Lesbos, Peloponez.

Parogodzinny postój w czystym, spokojnem miasteczku, Brindisi.

Jeszcze dzień i noc na Adrjatyku — i ukazuje się najpopularniejszy z obrazków — złociste mieliżny, jasnobłękitne fale, usiane pomarańczowemi żaglami, w różowej mgłę strzeliste wieże, białe kopuły.

Wieże i kopuły rosną, statek przepływa wzdłuż Riva dei Schiavoni, przybija do brzegu. Sprawdzanie wiz, rewizja odbywa się szybko, sprawnie. Ląduję w Europie.

Tyle, tyle widziałem miast — Wenecja jednak najpiękniejsza.

Miasta amerykańskie zbyt szybko rosną — olbrzymie dzierlatki już wyrosły z dziecinnych szatek. Mama - Sztuka nowych jeszcze nie zdążyła przykroić.

W miastach wschodnich piękno jest dla władców i bogów — dla pospółstwa brudne ulice, nędzne nory.

W Wenecji cuda architektury, malarstwa, rzeźby są ramami życia codziennego — i stąd jej czar. Doskonale wypucowana przez faszystów, czysta. Ludność godna, porządnie ubrana. Po małych zamętach,

papuzich wrzaskach ulic Wschodu, rozkoszne są: cisza i spokój placu św. Marka, Kanałów.

\*

\*

\*

Zatrzymałem się dobę w melancholijnym Wiedniu: na przedmieściach wyrosły w ostatnich latach wielkie mieszkalne pudła, pomalowane na cekliwe koloroki. Buduje się toto z podatków, aby dać zajęcie bezrobotnym. Lokale wynajmuje się, ze stratą, bezrobotnym. Aby dać zajęcie tym nowym bezrobotnym, buduje miasto nowe domy. Lokale wynajmą bezrobotni. Aby dać im zajęcie, będzie się budować... Dookoła, Wojtek.

A tymczasem jedynem racjonalnem rozwiązaniem problematów tej spadłej z etatu stolicy byłoby — zburzyć wszystkie dzielnice poza Ringami, na ruinach założyć Prater; na koszt Ligi Narodów rozesłać mieszkańców po wielkich miastach świata (założą w Los Angeles, Szanghaju, Kalkucie i t. d. kawiarnie z doskonałą kawą i pieczywem, dorobią się milionów).

W Starem Mieście skoncentrować kawiarnie, winiarnie, hotele; w Burgu „Imperial Palace Hotel“; nie wpuszczać za rogatki samochodów; fiaków przebrać w huzarskie mundury; czar walca, słodkie wiedenki: turyści z Ameryki, Anglii, Polski, Chin będą walić tłumami. Obejdzie się bez Wiener Messe, jubileuszów muzycznych.

\*

\*

\*

Stempelek graniczny w Brzeclawicach, stempelek w Piotrowicach, stempelek w Dziedzicach.

Warszawa.

Polskie wagony, utrzymane czysto, pociąg przychodzi punktualnie. Dworzec drewniany w stylu narodowym „Szopa“. Naprzeciw dworca z pietyzmem zakonserwowane chatki pierwszych białych osadników.

Autochtoni, ruchliwi bruneci o cerze ziemistej, ubrani w stroje narodowe; kobiety półgołe, talja opięta kolorową szmatką, lśniące pończochy na nogach; mężczyźni w długich po kostki czarnych surdutach i czarnych czapkach. Niektórzy przebrani w szaty europejskie.

Policjanci, porządnie umundurowani, blondyni, z niebieskimi oczyma, rekrutują się przeważnie ze szczepu Mazurów (podobno uczciwsi) zamieszkującego puszcze w okolicach stolicy.

Na ulicy zatory tramwajów—typu europejskiego; Fordów typu przedwojennego; naładowanych skrzyniami i beczkami jednokonnymi kabrioletów typu muzealnego (patrz artykuł z Los Angeles); dwukołowych wózków, popychanych przez bosych kulików.

Ulice proste i szerokie, rozkopane i zabarykadowane z powodu spodziewanego napadu Litwinów. W centrum miasta domy pobudowane w stylu berlińsko-wiedeńskim, dworce kolejowe i wille pod-



miejskie ozdobione piramidami łamanych dachów w stylu chińskim.

Muzeum (nazywa się „Zachęta“, gdyż zachęca ludność do bitki) wypełniają obrazy, przedstawiające zdobycie przez Polaków Pałacu Zimowego w Petersburgu, zdobycie Pskowa, zdobycie Piramid, i inne zwycięstwa nad kozakami; wszystkie obrazy olejno i ręcznie wykonał rotmistrz Wojciech Kozak.

Dwa teatry — w Teatrze Polskim grają sztuki amerykańskie i niemieckie, w Teatrze Narodowym — francuskie.

Warszawa rozwija się w tempie amerykańskim: w roku zeszłym stanęło na ulicach stolicy dziesięć tysięcy budek z papierosami, piętnaście tysięcy budek z wodą sodową.

Zburzony podczas wojny Stary Rynek jest odbudowany. Wybitni polscy rzeźbiarze, portreciści, pejzażyści na własny koszt tynkują i złocą domy zrujnowanych mieszczan.

Polska jest krajem niepodległym: wydatkami skarbu, monopoli, robót publicznych, przemysłu i handlu, kolejnictwa, poczt i telegrafu i t. d., zarządza komisarz St. Z. A. P.

\*

\*

\*

Przywiozłem z podróży parę spostrzeżeń natury politycznej.

1) Kula ziemiska jest niewielka, wszędzie blisko, wszyscy się znajdują.

2) Kultura (i armata) łacińsko-anglo-amerykańska podbiła, ewentualnie podbija wszystkie narody, tępi inne kultury: unifikuje świat.

3) Rasy ludzkie mają różne uzdolnienia i zamiłowania. Zarysowuje się już wyraźnie szkielec przyszłego ustroju świata, w którym biali Arjowie będą przebijać lądy, rozwalać góry, nawadniać pustynie, budować, porządkować, organizować (to nas bawi); Chińczycy będą prowadzić solidne interesy, pełnić delikatne rzemiosła (to potrafią); semici będą handlować — wszystkim, reklamować aryjskie i chińskie wytwory — i siebie (to lubią); negrzy, negroidzi, mongoloidzi będą posługiwać. Ananasów i samochodów starczy dla wszystkich.

4) Wszędzie dobrze, w domu najlepiej. W Indjach gorąco, niechlujny idealizm; w Chinach nędza i rzezie; w Japonji ziemia ciągle się trzęsie; w Stanach Zjednoczonych ostra walka o zbytek; w Honolulu cieplarnia, za dużo Ananasów.

U nas klimat w sam raz, ani nie rozpieszcza, ani nie zamraża, ludzie i kobiety wystarczająco uprzejmi; grunt pod nogami pewny, rodzi doskonale kartofle.

Wszędzie dobrze, w domu najlepiej.





## WYDAWNICTWA GEBE

WARSZAWA — KRAKÓW

PARYŻ — POZNAŃ — W

- Białkowski A.* Pamiętniki starego żołnierza (1806—1814).  
Wyd. W. Tokarz ..... 3.—
- Dębicki T.* Moienzi Nzadi. U wrót Konga. Z 10 ilustr. i  
okładką K. Mackiewicza ..... 10.—
- Z dziennika marynarza. Na pokładzie „Lwowa“  
z Gdańska do Esio de Janeiro i zpowrotem. Z 23 ilu-  
stracjami ..... 3.—
- Dębicki Z.* Za Atlantykiem. Wrażenia z pobytu w Stanach  
Zjednoczonych Ameryki Północnej ..... 1.70
- Dyboski R.* Siedem lat w Rosji i na Syberji (1815 — 1921).  
Przygody i wrażenia ..... 2.40
- Goetel F.* Przez płonący Wschód. Wyd. 2. Z 80 ilustr. .... 10.—
- Wyspa na chmurnej Północy. Z 107 ilustr. .... 15.—
- Grąbczewski Br.* Na służbie rosyjskiej. Fragmenty wspom-  
nień ..... 6.—
- Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus.  
Z 82 ilustr. i mapą. (Podróże gen. Grąbczewskiego  
tom II). ..... 12.—
- W oprawie ..... 16.—
- W pustyniach Raskenu i Tybetu. Z portretem au-  
tora, 82 ilustr. i mapą. (Podróże gen. Grąbczewskie-  
go, t. III) ..... 15.—
- W oprawie ..... 19.—
- Wspomnienia myśliwskie. Z portr. autora i 25 ilustr. .... 4.—
- Henning-Michaelis E. de gen.* Burza dziejowa. Pamiętnik  
z wojny światowej. Tom II ..... 8.50
- Krzywoszewski S.* Z przeżyć i wrażeń myśliwskich. Z 24  
rys. K. Mackiewicza ..... 20.—
- Kucharski - Korab H. R. S. F. S. R.* Wrażenia z podróży  
naokoło sowieckiej Rosji ..... 3.—
- Machay Fr.* ks. Moja droga do Polski. Pamiętnik ..... 3.—
- Makarczyk J.* Przez Palestynę i Syryję. Wrażenia z podróży. .... 3.—
- Mickiewicz Wł.* Pamiętniki. Z portr. autora. T. I (1838—61). .... 12.—
- T. II (1862—70). .... 12.—
- Niemojewski J. N.* Wspomnienia. Wydał, wstępem i obja-  
śnieniami opatrzył Stefan Pomarański ..... 15.—
- Potocki H.* W krainie Massajów. Z 31 ilustr. .... 10.—
- Sarguszek Roman* w świetle pamiętnika matki. Opraco-  
wała K. Firlej - Bielańska ..... 15.—
- Słonimski A.* Pod zwrotnikami. Dziennik okrętowy ..... 4.—
- Smolka Fr.* Dziennik w listach do żony (1848—1849) .... 1.70
- Weyssenhoff J.* generał. Pamiętnik generała Jana Weys-  
senhoffa. Z portr. autora ..... 2.50